

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y. M. C. A.

Nr. 16-17 (24-25).

PARYŻ, 15-30 GRUDNIA 1945.

ROK 2.

BOŻE NARODZENIE 1945



Nad światem wschodzi Gwiazda Betlejem, symbol Nadziei, Miłości i Wiary, — zapowiedź nowego świata. —

Z mściwego i okrutnego, na siłę i przewrotności opartego Starego Testamentu ma się zrodzić Zakon Nowy, oparty na przykazaniach Miłosierdzia i Pokoju.

W tym roku błogosławionym 1945 zwycięstwo Sprawiedliwości nad tyranią i łepotą doktryny samochwalstwa, zwiastuje światu pokój — ma przynieść Mu wytnięcie, światło wolności i Godności Człowieka.



Ale w obozie szlachetnych zwycięzców nie ma radości. Ciężko jest, bardzo ciężko i chmurno w świecie, — unoszą się jeszcze opary krzywdy i nieprawości . . . I w naszej miłej krainie wiele jeszcze trzeba będzie znoju i trudu, jeszcze trzeba będzie szmat drogi przemierzyć — aby wejść na szeroki i jasny gościniec.

Gdy jednak gwiazda przewodnia oświeci nam drogę do stajenki, gdzie się Chrystus rodzi — Serce tego świata, to wiara wszechmocna przynosi nam siłę wytrwania i światło i radości Zwycięstwa.

Chwała na wysokości, a pokój na ziemi!

Chwała na wysokości — a pokój na ziemi.

(Drzeworyt Stefana Mrożewskiego).



Cz 31892/1945/16-17

1604 C 1946

Hej, kołęda, kołęda...

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

Zbieram się długo, od samego lata
zobaczyć ciebie w świętym Betlejemie.
Tylko że od nas trzeba przejść pół świata,
by w Twą zamorską zawędrować ziemię.

Pokaż mi dzisiaj za naszym ogrodem
najbliższą drogę do Twojej stajenki,
za to opłatek przyniosę Ci z miodem
stanę na palcach i podam do ręki.

Snop wezmę z sobą, przyda Ci się słoma:
niech Matka Boska w jasną noc zadymną
żłób nią wyścieli świętymi rękoma
by i nie było w Twej kołysce zimno.

A gdy Ci twardo będzie bez poduszek
i smutno — zapal na gwiazdach światełka.
Ja ci dam trochę mych suszonych gruszek
i zeszłoroczne opowiem jasełka.

Jak szli Trzej Króle z koroną na głowie;
jakeśmy wtedy zabili Heroda.
i jak na skrzypkach grali pastuszkowie —
tak ślicznie było! Tyś nie widział? Szkoda.

A potem razem z Betlejem pójdziemy
do nas pomodlić się gdzieś na pastercie
i tam usłyszysz, malusieńki, niemy,
jak kołęduje Tobie polskie serce...

LEON PASTERNAK

K O Ł Ę D A.

Hej, kołęda, kołęda,
pierwszą gwiazdka migoce
i spod ziemi legenda
wstaje. Idzie w pomroce.
przez kraj mogił i cieni,
płynie dźwiękiem chorału,
wśród skrzypiących szubienic
i powstańczych wystrzałów.
Płynie mową zdławioną
ponad lasem i polem;
ponad Polską skrwawioną,
poprzez polską niewolę.
Zimno, zimno dokoła,
słychać głodny płacz dziecka.
U sąsiada wesoło,
czwarta gwiazdka niemiecka.
Tu złiniła choinka,
połamane jasełka,
nie płacz, nie płacz dziecinko
popatrz — matka twa nie łka.
Słuchaj, słuchaj piosenki,
twoja gwiazdka w piosence:
«Lulaj, lulaj, maleńki,
w ubożuchnej stajence.»
Coraz mocniej brzmią słowa,

pieśń się niesie chóralna,
brzmi jak rota bojowa,
brzmi jak pieśń nielegalna.
Hej, kołęda, kołęda,
pierwsza gwiazdka migoce
i spod ziemi legenda
wstaje — idzie w pomroce...
(pisane w Rosji w 1942 r.).

STANISŁAW BRUDNICKI

KU TWOJEJ IDĄC STAJENCE

W nędznej stajni, w ubogiej stajence
Dziś zstępujesz ku nam z wysokości,
Żyć wśród nas i gościć
Coraz częściej i coraz więcej.

Obyś w nas, utrudzonych ludzi,
Nową wlał wiarę w nowe życie
I taką miłość w sercach wzbudził,
Byśmy swych serc słyszeli bicie.

Jasna Twa gwiazdka, tego roku
Niech świeci jaśniej i goręcej,
Abyśmy nie zbłądzili w mroku
Ku Twojej idąc stajence.

SERGIUSZ JESIENIN

To nie chmury, nie mgły nad doliną
dokoła

Matka Boska zaczęła dla Syna
kołacz

Słodkościami naczyniła żyto,
masełkiem.

I upiekła i złożyła cicho
w jasełkę.

Bawił się nim maleńki, aż usnął
roześmiany.

Wypadł z rączek poślaczany kołacz
na siano.

I potoczył się ten kołacz za wrota
zbożem.

Zamąciły łyż błękitną duszę
bożą.

Matka Boska rady syneczkowi
dawała:

Nie płacz, nie płacz, moje łabędziątko,
mój mały

Na tej ziemi wszyscy ludzie w troskach
i w smutku.

Trzeba im choć jedną dać zabawkę
malutką.

Straszno im, gdy ciemną nocą
w mgle są.

Dałam imię temu kołaczowi:
miesiąc.

Tłumaczył W. Broniewski.

KOLEDA WILEŃSKA

W nocnej ciszy dzwony grają,
budzą świat na zew.
I pasterze ze snu wstają —
gwiazda wzeszła już.
W śnieżnej nocy dzwony grają,
milionowy śpiew —
w betlejemskim smutnym kraju
gwiazda lśni od mórz.
Patrz jak niebo purpurowe,
ziemia cudnie śni,
a pod lasem choinkowym
dziecię z zimna drży.

Hej pasterze, gwiazda świeci,
pocieszajcie z płaczu dziecię,
hej kolęda, hej kolęda,
kolędować mu.

W białej ciszy dzwony grają,
i na ziemi Bóg.
A na niebie wciąż się palą
purpurowe sny.
Pośród nocy dzwony grają,
pośród burz i trwóg —
w betlejemskim smutnym kraju
matce skrzą się lzy.
— Lulaj dziecię, lulaj synu,
przyjdzie piękny czas.
A pod niebem w smugach dymu
szumi żywy las.

Hej pasterze, świt już błyska,
do Betlejem droga bliska,
hej kolęda, hej kolęda,
kolędować mu.

*(Kolęda była śpiewana w domach polskich
w Wilnie w czasie okupacji).*

ANDRZEJ CHCIUK

PROSTA KOLEDA

Kolęda to jest prosta:
przyjdź dziś Jezu i zostań,
naucz zgody, miłości
i na nogi nas postaw.

Zejdź w dzień Swoich Narodzin
do nas grzesznych się rodzić
nie od święta — do szopki,
ale w serca — na codzien !

Weź za rękę i prowadź
ucz nas dobrze miłować
Boga, Polskę i ludzi
w czynach, myślach i słowach.

Spraw niech zawsze i wszędzie
w sercach naszych się przedzie
to, o co Cię prosimy
w prostej, polskiej kolędzie.

Myśli

Bywają czasy, że w każdym żłobku szuka się Zbawiciela.
Hebbel.

Iluz to było fałszywych Mesjaszów, rabusiów, zbójców,
których twarze niegodna historia załrzymała w pamięci;
podczas gdy zapomniała twarzy Chrystusa.

Mereżkowski.

Najmilszą rozkoszą ducha naszego są pienia o Bogu w
których i płacz nie jest bez wesela. One godzą poważnio-
nych; bo jakże będzie się gniewał brat na brata, jeżeli obaj
zgodnymi głosami chwalą Boga.

...Św. Ambroży.

.... Pycha zabija miłość tę jedyną siłę do zwalczania
złego.

A. Mickiewicz.

.... Bywają występki, które trzymają się nas dzięki in-
nym występkom, a które odpadają od nas jak gałęzie, jeżeli
podciąć pień wspólny.

Pascal.

..... Są ludzie źli; którzy nie byliby tak niebezpieczni,
gdyby nie mieli w sobie czegoś dobrego.

La Rochefoucauld.

..... Względnie łatwo przychodzi działać sprawiedli-
wie w sposób szorstki i imponujący; który wstrętą czyni
sprawiedliwość. Ale działać zawsze dobrze ze słodyczą i
niezachwianym spokojem, jest rzeczą królewską.

Emerson.

..... Iljada dlatego jest wielka, ponieważ życie całe
stanowił w niej walkę; Odyseja dlatego, gdyż życie w niej
jest wędrówką.

G. K. Chesterton.

..... Charakter człowieka ma swoją siedzibę nie w je-
go inteligencji, ale w jego sercu.

Jakobi.

..... Chrześcijaństwo jeszcze się nie zaczęło w całej
pełni. Prawdziwa miłość między ludźmi jeszcze nie była
praktykowana.

Maria Korycka.

..... Próba religii, ostateczną próbą religii nie jest re-
ligijność, lecz miłość....

Mr. H. Drummond.

..... Ratuj mnie, o przyjacielu duszy mojej ! Niechaj
się raz jeszcze rozraduję w miłości jednej, pospólnej z To-
bą, niech wyznam na łonie Twoim krzywdę mą — i nie-
chaj zazna serce moje wiecznego spokoju na Twoim sercu,
któryś jest Bóg, czyli Miłość.

«Modlitwa» Stefana Żeromskiego.

..... Uczucie czei zajmuje wyższe miejsce w zdrowiu
moralnym człowieka i wśród jego najwznioślejszych uzdol-
nień — i jest w pewnej mierze nawet źródłem jego inteli-
gencji. Cześć, religia, jest przymiotem tych, którzy widzą,
że na przekór wszystkim pozorom, natura rzeczy pracuje
zawsze dla prawdy i sprawiedliwości.

Emerson.

Wszelką prawdę może człowiek zdradzić na ziemi;
miarą wielkości cnoty jest głębia podłości jej zdrady.

St. Żeromski.

Powinno się być dobrym — jak chleb. Powinno się
być dobrym jak chleb, który dla wszystkich leży na sto-
le, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakar-
mić się, jeśli jest głodny.

Brat Albert (Adam Chmielowski).

WIGILIA BEZDOMNYCH

(Fragment «Wierzb nad Sekwaną»)

Po okresie zimnego deszczu mróz dwustopniowy ściał ulice Paryża i wtedy przywionął gość rzadki, przelotny — śnieg. Rano świeciło słońce, około południa wypłynęła zawięja i zasypała przemijającymi obłokami wybrany dzień, odziany w szaty godowe.

Bruki kipiały wesołością. W hucznej wrzawie rodziły się piosenki, uśmiechające się swawolnie, miłośnicie wszystkimi melodiami. Okna magazynów na Bulwarach zmieniły się w zakłete groty, zameczyska, w krainę marzeń dla dzieci.

Ślepy «Jasiek» idąc spod Opieki, niewiele zwracał uwagi na przedświadczone cuda, przeistaczające się w podziw i zachwyt. W knajpie zajął swoje miejsce. Tutaj panował żywy ruch. W kącie fryzjer skrobał brody, ciął kudły. Włóczędzy z Północy (z Polski) kupowali od szmacciarzy koszule, ubrania, ci z węzłkami wymykali się cichem. Każdy zgarbiony, zadumany, obcy sprawom tego miasta.

Dogasał dzień. Ukazało się słońce świecące, ale nie grzejące, zróżżone zachodem, niby róża w obłokach. Zadymka się rozplynęła, rozwiała biel, ukazując świat takim, jakim jest. Miasto złotem rozbiły i zgąsło. W światło gasnącego dnia, wlała się jasność lamp, wytryskujących milionami. Na ścianach, w powietrzu zaczęły się dziać różnokolorowe dziwy, wyskakiwały smugi, wystrzelały snopy, serenada kolorów, wieczór tysiącem odmian śpiewał nowoczesną pieśń reklamy. W przepaściach nieba zrodziła się pierwsza gwiazda zapomniana, daleka, obca, po której promieniach od dwóch tysięcy lat, schodzi daremnie z przestworzy na ziemię opowieść o wiekuistej miłości. W każdym promieniu niosła uśmiech dla wszystkich. Za nią wyblyskiwały inne, a wszystkie takie same, jak tam, nad daleką wsią, z łez anielskich poczęte, łzami ludzkimi obmyte. Mieszkańcy miasta omijali je, szukając o wiele efektywniejszych reklamowych światel, tylko głowy łachmaniarzy podnosiły się w górę i oczy napełniały się blaskiem tamtych zapomnianych gwiazd, głosząc radość narodzenia miłości w mroczny wieczór. Dokonywał się cud przemiany. Choćby cały rok przemijał w sromie, hańbie grzechu, przekleństwach, to dzisiaj w Wilję oczy polskie, rozproszone po świecie, omdlone tęsknotą szukały gwiazd które kiedyś wisiały nad ich dzieciństwem.

— Nigdzie nie ma tak, jak tam, ino żeby była robota i chlib.

Zbłąkane cienie tłukły się po obcym mieście. Ktoś przedko szedł, stawał, nieruchomiał pod mostem. Ktoś pośliznął się może na zmarzłej łzie, a tyle ich dzisiaj padło.

— Siedzę w izbie, w ciepłe, siano, pośnik zachrzącało, zapachniało siano stamtąd łak złożone na stole.

Nad Sekwaną widać było skurezone postacie zagarniające uszczęśliwionemu palcami wiatr i biel.

— Śnieg ! Jezu ! śnieg taki sam jak u nas.

Ktoś klęczał, zrócony w tamtą stronę. Poznać było — dziadek. Modlił się do dalekiej, tyłu latami oddalonej wsi, i nadśluchiwał może niebo zagra dzwonami pasterki, może bruki zanuća kołędy. Kryjąc twarz w dłoniach, szlochał

wyrazy, wożone przez wiek swej tułaczki, po wszystkich morzach i krajach.

Wiatr, błędząc po zaułkach przygarniał bezdomnego starca i łkał przejmująco. Gdzieś ktoś zanucił «Anioł pasterzom mówił» — echem tamtej, niezapomnianej kołędy, jakby kamienie podjęte spod włóczęgów, roztrzaskane pulsam ich sere, nagle zaśpiewały ludzkim głosem. Stężały postacie. Z ich oczu w świetle ulicznych latarni coś wyblęślo i potoczyło się po znękanych obliczach w brudne łachy.

Teraz stąd spojrzeli w tamten obraz i wspomnienia sześciu wieków schodziły do nich po śpiewanych słowach, jak po stopniach i śniła im się dawna, inna Wigilia na zawsze stracona. Tamten zamilkł, jakby ducha oddał w bezdomnym świetle.

Po tym już tylko fale Sekwany rozbijanym pluskiem mówiły o sobie, płynąc przez ciszę.

Znieruchomiłe postacie odrywały się od muru i chwiejnym krokiem wracały do knajp. Obezwładnieni zadumą i smutkiem wciskali się w międzynarodowy zgłębek, zdobywali krawędź ławki, brzeg stolika, aby wśród obcych zatracić siebie, wspomnienia i obrazy tak żywo widziane. Czasem z gwaru wyszczał się szept.

Brata mam, na gospodarce został, a ja won. Nie chce mnie znać, nie chce nic wiedzieć, ja dla niego gorzej, niż sobaka. Zebyś ty braciszku wiedział, co ja tutaj, tobyś ty inaczej. Jasie gwałtownie zwrócił się do kamrata i całą siłą pociągnął go ku sobie — napisz mi list, wyrzść całą prawdę ze mnie i powiedz mu, że Pan Jezus dzisiaj ludzi godzi.

Jasiek ślepy zaczął drżącymi palcami kreślić, co tamten kazał.

— Weź moje słowa pod pióro i tak po naszemu: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

I wtedy dźwignęły się rozezochrane łby łachmaniarzy, bezdomnych wykołajeńców i głosem uroczystym, utajonym chyba najgłębiej w sereu, wyrzekli w obcy hałas pijących: — Oni nam odpowiedzą. Na wieki wieków...

Sąsiedzi cudzoziemcy gęby rozwarli, omało nie ryknęli śmiechem — co oni robią ? Mszę odprawiają ? Od twarzy północnych włóczęgów biła świętość, z gestów obrzędowy patos, tak, że obcy zdziwieni w milczeniu patrzyli na gro madkę stojącą w skupieniu i wymawiającą z namaszczeniem jakieś wyrazy. Po tem siedli, czoła podparli, twarze zastanili.

— Kochany bracie ! nie od ciebie nie chcę, ino dzisiaj Wilja, a ja tu daleko, ciężko mi i źle — litery kurczą się wzdrygając, wily się czarnymi szramami na białym świstku — co ty, co tam — psia krew ! — wydarł zmiął w garści nie ćwiartkę zapisaną, ale żywe słowa, rany bolejącego i cisnął w kąt podeptane trociny. — Nie będziesz wiedział, jak mi tu. Jeszczeby się wstydził, że od takiego brata list. Co mam hańbić famielję przed całą wsią, jak pijak, wagabunda.

Zerwali się ku niemu.

— Adam, cicho. Co płaczesz, psia twoja mać. Co płaczesz? Dla twojej bidy?

Milczał. Oczu nie otwierał. Coś wstrząsało całym ciałem.

— Choćbyś z duszy dał najlepsze, to oni ino gnój widzą.

— Bośmy gnój za cudze drzwi wyrzucony.

Ojciec mój był czemś, dziadek czemś, a ostatni, gorszy niż najgorszy. Żeby nas tak wygnać, na taką poniewierkę rzucić.

— Bida nas wygnała i za nami tu przyszła.

— Tę psia krew ojczyznę podpaliłbym na czterech rogach.

— Wyrzekasz się jej, jak żaba błota?

Ktoś uciszał i przemawiał spokojnie.

Chciałbyś wrócić ale pogo? Gębą pyskujesz, ale sercem nie zaprzcesz się i nie odwrócisz.

— Prawda, gębą pyskuje, żeby żal wypłuć. Żebyś nie wiem jak żałował i przeklinał, to już się nam nie wróci tamto życie.

Kaszkiety nacisnęli na czoła i siedzieli ze spuszczoneymi głowami. Pootwierały się rany duszy, tam ojciec, tam matka, tam siostry, bracia, a tu jak te listki oderwane od gałęzi, wiatr rzucił w błoto, już nikt nie podniesie, iż zginią. Nie chcieli myśleć ani patrzeć w radosny polski wieczór. Nie nie pomogło. Gdzie spojrzeli; wszędzie widzieli izby, ludzi, drzewa, pola, gwiazdy, niebo rozśpiewane kołędami, wieś zasypaną śniegiem, okna patrzące w noc i jaśnie-

Mimochodem

Każde Boże Narodzenie zmusza do głębszych refleksyj i przemyśleń, zmusza poprostu do przeprowadzenia w każdym z nas — takich *wielkich rekolekcji*.

Wojna już jest skończona. Zdawałoby się, że wszystko jest jak ma być. Jest pokój i jest Polska. Ten wielki tragiczny wrzesień, płonący na przestrzeni całej wojny jak pochodnia, zagubił się jednak w mgłę dzisiejszych wypadków i zdarzeń, zagubił się jednak w mgłę krzyczących lub pełzających jak podła myśl niedomówień i zakłamań. Zagubili go zli ludzie. Nie był dla nich drogowskazem. Boleśnie stwierdzamy za Wierzyńskim — że jedno pozostało nam prawdą okrutną, że wolność jest w tym kraju więcej niż tragiczna.

Widzimy jednak, że ogień i zapach, poświęcenie bez miary i ofiary bez miary — o ile nie poszły na marne, lub nie zdążyły przechylić szali historii, to było ich o wiele za dużo. A jednak nie przyniosły zadośćuczynienia. Bijemy się z myślami i szukamy zaginionej prawdy i racji, bluźnimy Bogu i ludziom, historii i sprawiedliwości, mamy pretensję do Anglików, że nas sprzedają, do Rosjan, że nas chcą zjeść, i z zazdrością patrzymy na Francję, która małymi ofiarami i bohaterstwem jednostek «wymigała» się od haraczu, jaki ta wojna z nas wszystkich ściągnęła. Z niesmakiem odwracamy się od bufonady teńców — i widzimy nietkniętą Pragę, nietkniętą Paryż, przyrównyujące się do bohaterskiej i w gruzach leżącej Warszawy. U nas wszystko jest święte, bo krwią przesiąknięte, u nas wszystko to honor, poryw, walka — wszędzie indziej wyrachowanie, rozum, strach i t. d. Winy szukamy we wszystkich, we wszystkim — nie w sobie. Najwygodniej jest wymówić się przewagą materii. A jeżeli już w sobie i w swym charakterze, to wpadamy znów w przesadę — i wszystko co było u nas to było złe,

jące radością nowiny: Chrystus się nam narodził. A potem wizja ta gdzieś przepadła, domy zatraciły się, a tylko zostały w tej knajpie oczy wygnane, oczy tęskniące. I wtedy z pijackich oparów wyszły słowa, jak wilgoć z kamienia.

— Cicho! psia krew — ktoś zakofysał się nad stołem zachrypiał, trzasnął pięścią i wyszedł, zataczając się. Wiedzieli, że nie był pijany, ani kropli wina nie miał w ustach. Gdzieżby we Wilje... Choć jeden dzień święty.

Wszystkim było źle. Tęsknota — to głód serca, a ich trawił wieczysty głód, nawet jednym słowem nie nakarmiony.

Już my tam nigdy nie wrócimy.

— Co po takich zgnitkach. Zaszwiniaj lepiej cudzy kraj. Wyzdychamy tutaj.

Ucichł codzienny, hulaszczy krzyk, kieliszek wytrącony stał na boku. Siedzieli obcy, zapomniani. Dygotem nieszczęśliwego serca otrząsali z dawnego życia wszystko złe, zostawiało im to, co się mituje, za czym się tęsknił: dobro obrazów, uśmiechy dzieciństwa, powiew ziemi.

Daleka Polska w płachtę wigilijną spowrota wyszła naprzeciw rozproszonych synów całego świata, znalazła zapomnianych włóczęgów w mordowni nadsekwańskiej i z każdym najbardziej nędznym, z każdym tęskniącym przełamała się wspomnieniem świętego wieczoru, jak opłakiem.

do niczego nie jesteśmy zdolni, wogóle dziwimy się, że jeszcze żyjemy.

Nakreślony powyżej obraz jest napewno w szczegółach i linii przesadzony i niepoważny (nie szargać świętości! — powie ktoś).

Jednak zastanówmy się — dziś, gdy za nami tyle długich lat tak bogatych w przejścia i doświadczenia, gdy o całe niebo i piekło pogłębiliśmy się w sobie, gdy szliśmy do Polski, dochodzimy do niej i nie jawi się ona nam jeszcze taką, jaką chcemy, codzienni proszą Polacy dla wszystkich pracujących i dla wszystkich po polsku myślących i czujących — jednak zastanówmy się po męsku *czy i o ile* część winy nie leży w naszym charakterze narodowym. Nie ceńmy się za wysoko i nie wpadajmy w samobiczowanie. Poprostu: *myślny i porównujemy*.

Lubimy uznawać autorytety i piękne słowa, weźmy więc sobie za punkt wyjścia myśl Mickiewicza: «o ile polepszenie dusze wasze, o tyle powiększycie granice wasze». *Prawda* tych słów jest *wielka* — mimo że świat dziś widzi raczej tylko materię i dorywczy sukces, mimo, że nieprzemijające wartości wydają się przemijające dziś dość szybko o ile to jest wygodne i skuteczne dla osiągnięcia bliskiego celu — jednak powiedzmy sobie, że wszystko, *co jest w nas z moralności chrześcijańskiej i wiary każe nam wierzyć w słowa Mickiewicza*, każe nam wierzyć na dłuższą metę i każe się, nie spodziewając się ziarna jeszcze dzisiaj.

Powiedział Churchill, że mało jest zalet, którychby Polacy nie posiadali, ale i mało jest błędów, których nie popełnili i przyznali się do nich. Oczywiście, czytając jeszcze niedawno te komentarze, oburzaliśmy się na «perfidnego» i «chytrego» Churchilla, ale przyznajmy się, że dawno nie wydano o nas mądrzejszej i trafniejszej opinii.

Dziwny jest nasz charakter narodowy. piękny i zły. Nie ma się czemu dziwić, gdy zważy się warunki, w jakich się on kształtował, w jakich żyliśmy i biliśmy się — podczas gdy zawsze krótko było nam dane pracować. Polak jest dzielny i honorowy. *Ale umie tylko umierać dla Polski* —

żyć dla niej już mu trudno. Na jeden wysiłek nadludzki — Polak jest gotów; na codzienną ludzką pracę brak mu wytrwałości. Pochopny w sądach zawsze wpada w przeciwności: widzi tylko bohaterów i zdrajców, świętych i złodziei — nie umie po ludzku zobaczyć ludzi. Wygodnictwem duchowym jest czekanie na ciągłe cuda nad Wisłą — polskie «jakoś to będzie»... Z optymizmem, który jest szczególnie dziś bardzo pożądaną cechą — mało mają wspólnego te wszystkie uparte czekania na spełnienie wróżb. Gdzieś ktoś coś powiedział — mądrze czy nie — i wszyscy już czekają założywszy ręce aż się sprawdzą słowa o «czarnym orle, co znak krzyża splugawił».

Obok tego wygodnictwa duchowego i lenistwa zaraz leży (dziwna rzecz!) mistycyzm i cierpiętnictwo: Chrystusem narodów jest Polska! Wszystkie te momenty nawet uczuciowe są częściowo potrzebne w charakterze, ale naogół są szkodliwe, o ile obok nich nie ma realizmu i zdolności do pracy. Pomóż sobie, a Bóg ci pomoże!

Realizm chętnie mylimy ze sprzedawczykostwem i wielkimi ludźmi do małych interesów, podezas gdy my «panie dzieju ten tego jak się nazywa to idea, honor i t. d.» Mylimy go na każdym kroku. Wciąż pokutuje u nas szlachetczyzna: szlachcie nie para się metrem czy wagą — szablą i szklanką — i już grzmi złoty róg, już wszystko inne nieważne, do spodu, do końca, do ostatniej krwi z żył.

Charakterystyczną rzeczą jest fakt, że w przedwojennej Polsce tak mało uwagi poświęcano *pracy, propagandzie pracy i szacunkowi dla niej*. Wciąż żył u nas błakający się Wokulski, każdy go znał. Był nim inteligent co pchał się do urzędu za 80 złotych, produkowany z nadwyżką w gimnazjach, a imający się wreszcie handlu z biedą. Nie bardzo szanowano młodzieńca, co prosto z gimnazjum szedł do warsztatu. *Kto wie, czy właśnie u źródeł naszych niepowodzeń i tragedij nie leży brak szacunku dla pracy, brak umiejętności pracowania i brak umiejętności myślenia i widzenia rzeczy jak są.*

Dużo jest pięknych cech w naszym charakterze. Jest *wierność* — choć pochodna od niej słowność i punktualność nie istnieje wogóle. Jesteśmy zdolnym narodem *ale do walki, do konspiracji i do opozycji*. Gdy już nie trzeba się bić, gdy nie trzeba już konspiracji (a szkoda, bo czasem się na niej świetnie zarabia! — powiedzą niektórzy) i gdy już trzeba *zgodnej współpracy* — wtedy «leżymy». Cała nasza zdolność ryzykowania życia jest odrazu niezdolnością do produktywnego codziennego życia.

Mamy w swym charakterze dużo ewangelicznej *dobroci* i rozdajemy dużo napiwków niepotrzebnie (napiwków w przenośni — i nie) — ale niech nam ktoś na odcisk wlezie, huzia na niego! Nie przebaczymy. Jesteśmy mściwi. Krzywdy pamiętamy, o, pamiętamy. I to prędzej obcemu przebaczymy niż bratu. Wogóle cudzoziemczyzna u nas w modzie. Lubimy stempele zagranicy. A przytym dosadniejszego i głupszego szowinizmu nie ma chyba nigdzie w tym stopniu co u nas. Zmysł humoru mamy nadzwyczajny, z innych kpimy na potęgę. Ktoś coś o nas powie: o, zgrozo, tabu, szarga świętości.

Refleksje te są bezładne. Może nie trzymają się bardzo «kupy», może nie stoją w zbyt uroczystym stosunku do świąt, które je pobudziły — ale jestem przekonany, że, gdyby krew polska nauczyła się *mądrzej* lać, tak trochę *roztropniej i powściągliwiej*, że gdyby Polak tak *dobrze* poznał swój charakter i możliwości, że *gdyby zaczął wreszcie po ziemi chodzić*, gdyby tak troszkę na boku zostawił swe urojenia i ciężące już dziś spuścizny

(uprzedzenia i sympatie) — *to drugi wrzesień nie mógłby nadejść*, nie mógłby nas zaskoczyć i znaleźć duchowo przestarzałymi w stosunku do epoki, która po nim nadchodzi.

Gdyby przytym jeszcze Polacy umieli w sobie odnaleźć *mądrość polityczną* i zrozumieć swą *linię polityczną*, byłoby całkiem dobrze. Wciąż mamy *kacyków*, a brak nam *wielkich ludzi*. I gdyby wreszcie Polacy poczuli się tak naprawdę jednej krwi, gdyby dzieląc się pionowo na partie i światopoglądy, lub poziomo na klasy zawsze przede wszystkim w drugim Polaku widzieli Rodaka — może wtedy Polska stałaby się tym, co się przewija przez naszą literaturę i przez nasze marzenia — *wielkością*.

To nie są plany na dziś, ani na jutro. Na lata. Ale realizację ich trzeba zacząć od dziś, od Polaka. Człowiek, który wreszcie zdobędzie się na wyeliminowanie ze swego charakteru niepotrzebnych i szkodliwych cech i uprzedzeń, ambicji i obciążeń dziedzicznych, a wzbogacił się wewnętrznie o to, co dobrego widzi u innych. Zaczniemy tę *przebudowę* od dziś, już, zaraz, nie spodziewając się wyników natchmianstowych. Polska trwa od tysiąca lat i będzie trwać. Dla historii życie naszego pokolenia, nasze przejścia i ofiary są chwilką — lecz to, co zostanie *dobrego, zapładniającego* będzie zaczęciem, fermentem nowej Polski, przez nasz trud codzienny bliższej wszystkim naszym marzeniom i dążeniom. Będzie to naszym wkładem do historii, będzie spełnieniem misji, jaką każdy człowiek i naród mają do spełnienia, bo tylko tak można po chrześcijańsku zrozumieć *sens i cel* życia.

Chwilka ze sobą

Najpiękniej umiera gałąź: pod ciężarem własnego owocu.

Hebbel.

Człowiek powinien szukać prawdy, dobra i piękna nie poza sobą, a w sobie samym.

Wy, kochacie w ogóle więcej dramat w miłości, niż samą miłość.

Henryk Sienkiewicz.

Sposób dania więcej znaczy często niż sam dar.

Corneille.

... Cywilizacja to praca. Z upadkiem zamiętowania w pracy, szacunku dla niej, ambicji do tworzenia rzeczy lepszych, cywilizacja musi zginąć.

... Kryzys obecny jest katastrofą dzisiejszego pokolenia, ale nie jest katastrofą cywilizacji zachodniej, rzymskiej...

Dmowski.

Najtrudniejszym rzemiosłem — nauczyć się dobrze żyć, w czym się wszystko zamyka.

Mikołaj Rej.

Bez pracy nie ma odpocznienia, bez walki nie ma zwycięstwa.

Stefan Żeromski.

... Gdzie miłość Ojczyzny ginie, tam przychodzą i czasy lotrów i szaleństw.

Henryk Sienkiewicz.

Miłość jako nasionko leśne, z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem wyrwać ją można.

Henryk Sienkiewicz.

Wróbel kukulkę póty pielęgnuje, póki mu piód jej oczu nie wykłuje.

Szekspir.

MYŚLI — I CZŁOWIEK

Od kilku już numerów «Razem» spotykamy się stale z małą rubryką « Chwika ze sobą ». Myś i zajmują czytelnikowi kilka minut. Drobną to okruszkę czasu, ale wystarczy jako zacząć myślowo do poznawania samego siebie, do odszukania człowieka na tle dzisiejszego władztwa materii, do zrozumienia, że nie ma dwóch moralności, tej czasu wojny, nowej i starej, czasu pokoju. Im większe zakłopotanie wywołują tu czyjeś myśli, uwagi czy zdania, tym bardziej są potrzebne i szczupłość miejsca im poświęcanego nie stoi na przeszkodzie w spełnieniu zadania. Zadanie, to poruszyć naszą myśl, duszę i serce i zmusić do przetrwania tych słów i znalezienia siebie i swej pozycji w stosunku do nich.

Wątpliwości mogą się raczej odnosić do samego pomysłu. Można je sformułować jako pytanie: czy dzisiaj myśl ma jakiś wpływ na życie? Albo, mówiąc językiem, wywodzącym się od myślicieli greckich: czy idee rządzą jeszcze światem?

Bardzo wielu odpowiada dziś na to, że nie podobnego, że nie, że światem rządzą nie idee ale potrzeby i namiętności; — a myśli, to zjawiska wtórne, pomocnicze, to tylko służba trenowa i wywiadowcza, która spełnia zadania wskazane przez potrzeby i namiętności. Według tego zapatrywania myśl: o tyle ma rację, o ile jej korzenie tkwią w rzeczywistości społecznej, w potrzebach bieżących życia zbiorowego. Wszelkie myśli inne, nie związane z momentem, z czasem i z gromadą, wszelkie idee ponadczasowe, bez wyraźnego rodowodu socjologicznego, są tym samym bez korzenia, są marzeniem lub złudzeniem, niemającym żadnej siły i żadnego zastosowania tam, gdzie idzie o konstrukcję samego życia i o trafne stanowisko człowieka.

Poglądy takie nie należą już dzisiaj do samych pesymistów i ludzi rozgoryczonych. Poglądy na myśl, na idee, jako na **nadbudowę** dodatkową do procesu potrzeb, stanowią dzisiaj szkołę w filozofii, a prąd w życiu, prąd, który przenika nie tylko do prasy, do literatury, nie tylko wywiera wpływ na sposób myślenia i kulturę obyczajową inteligencji, ale obraca nawet kołem historii niektórych narodów, wpływa na organizację oświaty i wychowania, jest poglądem na świat szerokich warstw społeczeństwa.

Taki pogąd na świat podkopuje oczywiście humanizm w kulturze. Przy takim układzie wartości przestajemy należeć do siebie a jesteśmy tylko ułamkiem zbiorowości, i należymy do chwili bieżącej, która przez nas myśli i działa. Pocóż takiemu człowiekowi myśli Sokratesa, Platona, Marka Aureliusza, Świętego Augustyna, Dantego, Michała Anioła? Poco mu ten trud duchowy Paskala czy Mickiewicza, poco długa droga Goethego do samego siebie? To dla niego rzeczy nie na serio. On nie potrzebuje przedzierać się do drugiej, duchowej rzeczywistości, bo nie uznaje z góry jak tylko jedną rzeczywistość. Nie potrzebuje drogi do samego siebie jako do psychicznej jedności; człowiek jest dla niego takim samym pojęciem złożonym jak n. p. wóz. Istnieje raczej według jednych klasa, a według drugich rasa; osobowość jest, według tego poglądu na życie — złudzeniem. A przeto cechę złudzenia nosi wszystko to,

co wyrasta z ludzkiej osobowości i na niej jedynie się opiera. Jak zaś wiemy, na niej to właśnie opierają się: humanizm i chrześcijaństwo.

Z tego punktu widzenia, zajmowanie się zdaniami i uwagami myślicieli o życiu i o człowieku nie przedstawia rzetelnej wartości, szkodzić może nawet poniekąd, bo wprowadza do ludzkich stosunków starzejący się mocno pierwiastek iuzji, pierwiastek, który stoi w sprzeczności z wiedzą socjologiczną o człowieku.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tym poglądem na życie, aby tym więcej wydobyć potrzebę czasu dzisiejszego, który teraz zwłaszcza, i u nas również wymaga pogłębienia wiedzy o człowieku, naszego o nim poznania. Ta wiedza stanowi w gruncie rzeczy o całej kulturze, bo istota ludzka to temat tej kultury pierwszy i ostatni. To, czym dziś jesteśmy bogaci i z czego jesteśmy dumni, to nie innego jak zgromadzone przez wieki doświadczenia ludzkiej myślącej i czującej duszy. To są wartości mające obieg trwały i niezmienny wszędzie tam, gdzie ludzie żyją nie tylko potrzebami i namiętnościami, — i mające ten obieg tak długo, dopóki ich nowy najazd barbarzyński nie zmarnotrawi. Najazdy takie odbywają się dzisiaj inaczej niż za czasów rzymskich lub średniowiecznych, nie wychodzą z lasów ani stepów, — rodzą się w skrzywionych stosunkach moralnych, a szeregują i uzbrajają w mózgach.

Gdzie nie ma ciągłości spadku duchowego, tam można narazić na niebezpieczeństwo najważniejszą stawkę w kulturze, stawkę człowieka. A chybić na tym punkcie — jest to wnieść nieład i sceptycyzm w trzy tysiące lat naszej europejskiej, to znaczy humanistycznej, tak antycznej jak i chrześcijańskiej kultury. Zostałyby nam wtedy partie, organizacje, zespoły i tym podobne idee schematyczne, — tylko nie zostałyby idei samego człowieka.

Specjalnie dziś trzeba przypominać o dobrach leżących ponad czasem. Są myśli potężniejsze niż niebo i ziemia i cały ogrom ich. Duch ludzki jest oceanem, którego tylko jeden brzeg jest nam dołąd znany, — i miał rację Pascal, gdy powiedział, że samo badanie serca ludzkiego otwiera przed nami obszerniejsze przestrzenie niż te, które mierzymy olbrzymimi cyframi astronomii. Specjalnie dziś trzeba poświęcać uwagę człowiekowi, t. j. istocie, która tworzyła wartości kultury z autonomicznej władzy swej natury i z bezinteresownej siły swoich uczuć, — i który przez rzeczywistość otaczającą przedzierał się ku rzeczywistości wyższej, to jest tej, na którą składa się miłość i cześć.

Oto wszystko. Nic nowego zatem. Rzeczy raczej dobrze znane, może jednak w swojej prostej formie przydatne na to, aby przeciwdziałać rozłaganiu duchowemu, które oddaje nas na łup przedmiotów, odwołując od samego podmiotu.

W czasach dawnych był zwyczaj pisania maksym na odrzwiach bram, na supraportach drzwi, na fryzach ścian w salach zebrań i w prywatnych komnatach. Choć tak często widziane, nie uprzykrzały się one, promieniowały, miały w sobie pierwiastek niezniszczalny. Dziś miejsce tych maksym i dewiz zajęły hasła i reklamy.

Zapewne, nie jest dzisiaj łatwą pozycją takiej my-

śli osamotnionej niejako, która nie zamierza przytem wcale kusić się o paradoksalność, ani ułatwiać sobie posłuchu przez obracanie wszystkiego w żart.

Myśli te zamieszczane są dorywczo, nieraz w miarę wolnego miejsca na stronie czy szpalcie, mimo to spontaniczność ich nieprzewidziana i niespodziewana składa ułkon czytelnikowi, a wokoło nich korowód innych wdaje się z nim w rozmowę. Ta rozmowa w której widzi się siebie, jak w lustrze, jest właśnie szuka-

niem Człowieka, któremu grozi coraz większe niebezpieczeństwo zagubienia się w przewodzie (w rzekomej przewodzie) i w chaosie materii i wojny, — któremu właśnie mała, niepozorna myśl podać jest w stanie rękę i wyprowadzić go z tego chaosu na świat dobrego Boga i dobrych ludzi, nieskrzywionych i nieskarykatyzowanych wartości i stosunków.

G.

SZCZEPAN BACZYŃSKI.

O KUKIEŁKACH

Do teatru kukiełkowego i kukiełek podchodzimy z pewną wyrozumiałością na twarzy. Podchodzimy z uśmiechem pobłażania na ustach: «No, bo to przecież takie coś dla dzieci».

Tak być nie powinno. Nikt z nas nie podchodzi z uśmiechem pobłażania do teatru a przecież kukiełki to bardzo poważna i prastara gałąź sztuki. Na tragicznej scenie teatru Dionoza, na której Eurypides występował ze swoimi tragediami, w piątym wieku przed naszą erą wystąpił z kukiełkami Potej, który tak się tym wstawił, że postawiono mu pomnik.

Herod opisuje przedstawienie kukiełkowe na uroczystościach Ozyrysa w Egipcie.

Ksenofont opisuje występy pewnego syrakusańczyka z kukiełkami na uczele Kaljasa.

Mówią nam o kukiełkach: Petroniusz, Horacjusz, Persenius, Marek Aureliusz.

Ten spis świadków wskazuje, jak wielkie było zastosowanie lalek w owe czasy i jak niesłuszne są nasze pojęcia o miejscu kukiełek w sztuce.

W krajach, których nie ogarnęło chrześcijaństwo, gdzie kukiełki łącznie z bogami i bałwanami nie zostały, jak Perun czy światowid ściągnięci za nogi z postumentów i zrzucone do rzek, starożytne tradycje kukiełek utrzymały się prawie do czasów obecnych.

Indie, Jawa, Turcja, Chiny, Japonia posiadają odrzysmią kulturę teatrów kukiełkowych. Turecki teatr cieniów Karagez, jawajskie, chińskie i japońskie teatry cieniów i kukiełkowe, poruszane od dołu kijkami, przedstawiają nie tylko estetyczne zainteresowania, lecz i rzeczowo wskazują na wzajemny wpływ teatru kukiełkowego i teatru nowoczesnego aktora.

Nader interesująca walka odbyła się w Japonii pomiędzy teatrem kukiełkowym a teatrem ludzkim.

Tam kukiełki grały w misteriach religijnych, w świątyniach i początkowo nie konkurowały z teatrem, tak popularnym swego czasu w Japonii «NO», ani też z następnym, powstałym na początku VII wieku teatrem Kabuki.

Później teatr kukiełkowy Dzeruri, powstały w pierwszej połowie XVIII wieku staje się tak silnym konkurentem Kabuki, że do niego przechodzi wielki pisarz T. kamacu, piszący przedtem dla teatru Kabuki. Przedstawienia szły jako ilustracje z lalkami tekstów poety-bajeczarza.

Pod koniec XVIII wieku kukiełki całkowicie odebrały od Kabuki sławę i publiczność.

I oto teatr Kabuki nietylko że przyswaja sobie repertuar kukiełek, ale i technikę gry aktorskiej, rozczłonkowanie ruchów, nieruchomość pozy, zastygłą maskę twarzy, mowę przechodzącą w śpiew, towarzyszenie muzyki akcji.

Teatr Kabuki to wymarzone przeniesienie aktorskiej techniki ze sceny teatru kukiełek na scenę teatru ludzkiego.

W krajach chrześcijańskich na początku kukiełki usadowiły się w kościołach i były używane do przedstawień różnych misterii religijnych, jak Bożego Narodzenia i t. p.

Dopiero inkwizycja nie tylko że wypędza kukiełkę z wnętrza kościołów, ale nawet zaczyna prześladować ją, tak jak i teatr, jako diabelską sztukę...

Kukiełkowe pracownie kościelne, z których słynęło miasteczko Dieppe w roku 1647, zostały zamknięte przez Ludwika XI.

Kukiełki, wypędzone z kościołów, przeniosły się na ulicę i na jarmarki obok kościołów. Wielu musiały mieć zwolenników, skoro na scenę teatrów kukiełkowych, jarmarcznych, przechodzą znakomici dramaturdzy francuscy Lesage i Finselle, stwarzając zupełnie nową formę opery komicznej, która cieszy się ogromnym powodzeniem.

Kukiełki musiały w przeszłości być na tyle wpływowe, że Potejowi postawiono pomnik, a Cezar zmuszony był wydać rozporządzenie, żeby kukiełki grały tylko pantominy, gdyż mówiąc, w myśl swej plotkarskiej tradycji, mówiły bardzo często to, co się nie podobało Cesarowi. Kukiełki w Rzymie były tak rozpowszechnione, że na specjalny nacisk Kościoła, wydano rozporządzenie: — w celach zachowania moralności, wszystkie kukiełki mają być ubrane w niebieskie okrycia.

Kukiełki zrodziły Fausta, kukiełki rozweselają swoją grą miliony ludzi. Tak było w przeszłości. Dziś kukiełki zachowały się u nas w Polsce po wsiach w tradycyjnych szopkach na Boże Narodzenie i w miastach w satyrycznych szopkach aktualnych i politycznych (szopki Zielonego Balonika w Krakowie, Cyrulika i Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie).

W roku 1928 powstaje w Warszawie stały teatr kukiełkowy «Baj», który po kilku latach pracy skupia wokół siebie znanych malarzy, muzyków i pisarzy.

Do ostatka istniał w Poznaniu teatrzyk kukiełek «Błękitny Pajacyk», prowadzony na zasadach współdzielczych przez Wielkopolską Rodzinę Marionetkarzy.

Kukiełki na scenie, mimo swego martwego wyrazu twarzy, żyją i poruszają się jak prawdziwy, żywy aktor. A czasami ileż doskonalsze od niego.

W pracy świetlicowej, w której tak często brak nam ludzi do zagrania sztuki i czasu do wyuczenia tekstów i trudnej jednak sztuki aktorskiej — kukiełka może nam oddać nieocenione wprost usługi.

Recytator, ukryty za kurtyną, ma znacznie mniejszą treść, aniżeli gdyby stał bezpośrednio przed widzami.

Kukiełce nie potrzebne są specjalne sceny, wystarczy jej rama drzwi otwartych, do połowy przesłonięta ko-

Na kostium wystarczy kukiełce skrawek materiału. Na kukiełkę nie można się obrazić nawet, gdy kogoś przedstawi śmiesznie i wytknie mu jego wady — bo kukiełka po widowisku pozostaje tylko lalką, a nie żywym człowiekiem.

Kukiełka we współpracy jest najmilszym, najwerniejszym i najcierpliwszym towarzyszem.

Pewna, niezmordowana, skromna, nie obrażająca się o otrzymaną rolę, nie żadna pochwa.

Pragnieniem moim jest, ażeby przez to naszkicowanie dziejów kukiełki wzbudzić zainteresowanie i namówić do współpracy wszystkich pracowników na niwie kulturalno-oświatowej.

Teresa Skórzewska

DO CZYTELNICZKI Z OBOZU W OŚWIECIMIU

Nie podaje Pani adresu. Niech pani to zrobi, byśmy mogły zawiązać kontakt osobisty. Wszak na tułactwie nie mniej jak w obozie potrzebne jest siostrzane zbliżenie się Polek. Porusza Pani w swym liście tyle spraw ważnych, tyle bolączek, że warto tymczasem przemyśleć niektóre z nich na łamach «Razem». Lubię tytuł naszego pisma. Niech będzie ogniwem łączności.

Przytaczam urywki z Pani listu, bo pewna jestem, że znajdują oddźwięk u czytelników. Praca tych co zginęli w więzieniach, w obozach nie składając najistotniejszej broni i siły ducha — pozostaje testamentem, nakazem obowiązującym wszystkich.

Pisze Pani:

«Nigdy nie przypuszczałam będąc jeszcze w Oświęcimiu, że gdy znajdę się na wolności będę świadkiem walk w tak ostrym i wrogim języku jednych Polaków, przeciw drugim. Myślałam pobiegłam na miejsce męczeńskiej śmierci Polek, przewodniczek ducha, Polek żołnierzy na polu walki i polu społecznym, Polek będących w prostym stosunku do prawa niepodległości Narodu. Z przekonania nie były to ani socjalistki, ani komunistki, ani orientacji żadnej politycznej, która była by ze szkodą tej, czy innej warstwy politycznej społeczeństwa. Były tylko Polkami, niosącymi swój wielki dar — bo życie dla niepodległości Ojczyzny. Na grupę tych, które znałam, składały się kobiety z różnych warstw i o różnym poziomie wykształcenia. Złączone jednak były jakimś wspólnym węzłem duchowym. Były to doktorki filozofii, artystki teatralne, nauczycielki, uczennice, pielęgniarki i zwykłe kobiety mające za sobą nie jeden chlubny czyn, świadczący o heroicznym wysiłku na polu pracy społecznej podczas niewoli. Wśród kobiet tych, jak gwiazdy jaśniały: Zofia Kossak-Szczucka i mag. fil. ś. p. Wanda Borowska. Słuchałam nieraz ich planów na przyszłość, mających na celu budowanie człowieka od podstawy, czyli od strony duchowej — i znając dokładnie istotę wewnętrzną każdej z nich, wierzyłam mocno w podniesienie realizacji tych planów w wolnej Ojczyźnie. Ale wybuchła straszna epidemia tyfusu, którego ofiarą padała w Oświęci-

miu nie tylko najlepsza część Polski, ale i najlepsza część ludzkości. Myśl moja biegnie do miejsc męczeńskiej ich śmierci, zatrzymując się na miejscach, gdzie były katowane podczas pracy, tam gdzie bez żadnej opieki, trzewione wysoką gorączką umierały jedna, po drugiej. Wreszcie zatrzymałam się na wspólnym rowem ich popiołów».

Przyklękniemy razem przed tą mogiłą, by wmyśleć się w trud jaki nam przekazują te, które w niej spoczęły. Odrzucmy rozgoryczenie, bo Kraj, który wydał Was, co przeszłyście przez piekło — niezłamane — jest krajem żywym i mocnym.

Próba zwątpienia, z którą Pani walczy jest mi znana z własnego przeżycia, są to wrażenia, które notowałam w 1940 roku zaraz po przybyciu do Paryża:

«Rano dostrzegłam w oknie sklepiku, zatkniętą wśród wielojęzycznej prasy — polską gazetę. Od siedmiu długich jak lata miesięcy, jedynym pisemem drukowanym w Warszawie był «Nowy Kurier» zwany przez nas «Gadzinówką». Niemcy nikogo z Polaków do współpracy z nim nie znaleźli, łamaną polszczyzną «Volksdeutschów» i niezdarnymi próbami propagandy podsycali nasz opór.

«Więc na ławce ulicznej w Paryżu zaczęłam czytać — łapczywie, jak pies zgłodniały wylizuje miszkę. Wielkanocny numer zgromadził nazwiska wiełu naszych poetów. Żyli zatem, mając przy sobie jamy okien Warszawskich i dźwięk Zygmunta z dawnych Rezurekcyj, wierzby przydrożne i ćwierkanie wróbli. W rozszlochanej tęsknocie brakło jednego rytmu — hartu — jednego tonu — nadziei, jednego apelu — do pracy. Dalej stronica listów z kraju prosto, pogodnie niemal mówiących o umieszczeniu dnia codziennego — pełnych ofiarności do Francji i do Polaków w Paryżu. Wreszcie sprawozdanie z mowy jakiegoś ministra. Artykuł omawiał walki partyjne, w których trudno się było rozeznaczyć; trudniej uwierzyć. Posterunek dławionego narodu korzystał z wolności słowa, aby załatwić nienawistne porachunki tak zagłuszane w kraju salwami egzekucji, że zapomnieliśmy aż do możliwości ich istnienia. W nocy, gdy

wyjeżdżałam z Warszawy na zamarzniętych oknach tramwaju czerniło się różnym pismem powtarzane zdanie: «Byle do wiosny». Z nikim jeszcze w Paryżu słowa nie zamieniłam, lecz przerażała mnie nagła pewność — wiosna nie przeniesie im nic».

Te same objawy co mnie w roku 1940 — zaboląły Panią w 1945 bo trwają w jakiejś zaostrzonej formie. A jednak pierwszym obowiązkiem — nie rozpaczać. Emigracja jest niebezpiecznym gruntem, bardziej może niż katorga. Łatwiej ją czerw toczy. Zawsze tak było. Czytam właśnie wspaniałe studium Berenta o legionach Napo'eońskich. Oto wśród wielu innych parę wstrząsających szczegółów:

«W wojsku na tyłach podjudzanym nieustannie zbieraniem petycji do generała Moreau przeciw Kniżiewiczowi, nastąpiła wkrótce taka dezorientacja, że wielu oficerów szukało środków zwolnienia się. Przytrafiały się i dezercje. Przeraziło się nareszcie tem piekłem polskim i dowództwo Francuskie. Gen. Moreau nakazał wręcz Kniżiewiczowi zdusić te intrygi».

I dalej:

«Paść miał ofiarą tego żmijowska jeden z najczystszych ludzi i najlepszych oficerów. Nie wyznawał się człowiek prostoduszny tak dalece w intrygach, że uwierzył w naiwnie owym spotwarzaniom uwikłał się w kabałę ambieji cudzych, a gdy przetańił oczy, zohydził sobie tak do głębi wzajemne szarganie Polaków, że nie wytrzymał atmosfery: w Ren skoczył».

Możnaby mnożyć bez końca cytaty, których smutne echo co chwila dźwięczy w literaturze Emigracji.

Przypomnijmy sobie jednak raczej, że gdy Mickiewiczowi zbyt dokuczyły «niewczesne swary» schronił się nie w rozpacz, a w tworzenie nieśmiertelnego piękna «Pana Tadeusza».

Gdy pierwszy wstrząs minie dostrzeże Pani obok ciemności i światła, nie w takiej liczbie jak w obozie, co był istotnie koncentracją wszystkiego co najlepsze — jednak dość liczne, by jak latarnie morskie schroniły przed zatonięciem wśród burzy.

Za przykładem Mickiewicza chronić się nam trzeba nie w rozpacz, a w dzieło. Niech drobne będzie na miarę na jaką każdego z nas stać, ale niech będzie uczciwym wysiłkiem sumienia i woli, wyzuty z szukania koniunktury, z egoizmu i pychy — a stanie się składnikiem najbardziej Polsce potrzebnego ducha — cementu.

Piłsudski mawiał: Polacy są jak garść piasku nie dając się z'epić w bryłę. Od walki z tą bolączką trzeba pracę odbudowy rozpocząć.

W armii naszej słyszałam piękną dewizę: «Odrzucamy wszystko co nas dzieli, przyjmujemy wszystko co nas łączy».

Lubiła Pani «Des profundis». Jak zaznaczyłam myśli tego artykułu nie ode mnie pochodziły. Przysłano je z kraju. Gdy się rozejrzeć, wszędzie po trochu kiełkuje szlachetny posiew cierpienia i rozbudzenie ducha, zrozumienie konieczności wewnętrznego wzrostu i zaczęcia odbudowy kraju i ludzkości od wysokich wymagań sobie samemu stawianych. Nie pozostanie Pani samotną w swoich wierzeniach.

Trzeba tylko, aby między wszystkimi co myślą tak jak myślałyście w obozie, zadzierzgnęła się więź ser-

deczna, aby ci którzy wierzą że budulcem koniecznym jest cement miłości, a nie dynamit nienawiści, nie zwątpili o wierze swojej, aby postawa ich była mocna, dostrzegalna i dosłyszalna dla świata.

MŁODY PROGRAM

Nie będziemy wracali na drogi,
Nie będziemy wracali w zaułki,
nie lubimy zaglądać do mogił,
Przedwojenne poburzymy szkółki.

Kiedy rosa wybieli poranek,
I huk armat wytarza się w rosie,
Nie rzucimy się hurmem do szklanek
Wiwatować przy sutym bigosie.

W czystym domu, w armat antyfonie,
Z czarnym chlebem i sercem na oścież
Polska czeka. Podajmyż jej dłonie,
A wy, bracia, do izby zaprosicie.

Niech nikt nie śmie wspominać o ranach
Przy tym naszym młodzieutkim gościu,
Stara to już piosenka i znana
Idź z nią, kumie, na żebry pod łościoł.

A w jej domu, w jej jasnej zagrodzie
Bedzie tylko szum myśli i pracy.
Muszą wreszcie w Ojczyźnie na co dzień
Gospodarzyć Codzienni Polacy.

J. ROSTWOROWKI.

PANIS BENE MERENTIIUM

Niektórym trzeba tak wiele,
Ażehy szczęśliwi byli.
Majtku, sławy, przyjaciół
I auta i własnej willi.

Ja skromne mam wymagania
I znaczni- mniej mi potrzeba.
Tyle dochodu za pracę
By nie zabrakło mi chleba.

Jednego wiernego druha,
Na którym się nie zawiodę.
I w światło szklanczki wina
Bo bardzo nie lubię wody.

Całkiem małego pokoju.
Gdzie cisza mi gospodarzy.
Z oknami na zachód słońca,
Przy kłóym słodko się marzy.

Pokoju, w którym niech będzie
Tani rańowy brzuszałek.
I na stolku codziennie
Tytoń i paczka zapalek.

Bo spokój wieczoru życia,
Bo cisza samotnej celi.
To panie bene merentium
Tych, którzy dużo cierpieli.

K. SAWICZ



ZOFIA NAWROCKA

Maszyna

...że ci się głupia nie nudzi ?
to samo bez tchu
to samo bez tchu:
to tam, a to tu
to tam, a to tu
ten stuk i ten takt
tu tak, a tu tak
zabratem śmig kół
a potem — dźwięg w dół
błysk stali i wir
i dalej...

uff ! brrr !...

A gdybyś tak zwarzowała ? !

Drgnęła, wspięła się, skreśliła
w prawo, w lewo, potem w bok
zabębniła, zadudniła
i zmieniła rytm i krok ? !
Motor ze stali zamiast walić
będzie śpiewał, dął, i grał
Z maszyn wnętrza tryśnie tęcza,
Słowik, róża, krew i szal.

Po salach, po halach rozejdzie się gadka:
Maszyna — wariatka, maszyna — wariatka

Śluchajcie, patrzajcie, jak parska dokola
z turkotem, z świergotem trzepocą jej kół
już walca na palcach żelaznych wygina
wiruje, kotuje — wariatka maszyna
i gmach cały w końcu zarazi swym szatem
aż śmignie ku słońcu koziołkiem zwchwałym !...

Nadbiegnie z okrzykiem dyrektor fabryki
a w oczy mu prysnie i śwśnie słowikiem
Różami owionie, metalem zadzwoni:
«...a poboś? a o coś ? A tam teraz dłonie
i miotaj się, ciskaj, i spłomień jak rak
A dobrze ci tak, a dobrze ci tak !»

Bo wiecie, to przecie jest kara za winę,
że każą poecie — prowadzić maszynę...

Bomba atomowa

Śmignę i śwśnie, błysnę, zapłoneg
powietrze przetnę ostro i twardo,
aż ziemia buchnie słupem czerwonym
z trzewi rozdartych pod samo gardło!

I śmierć uchwycę za potęg ciemną:
«Cóż się z trupkami łaskasz ospale» ?
Tańcz razem ze mną, świszcz razem ze mną
aż się zatoczysz w obłądnym szale.

Bo już nie setki i nie tysiące
lecz milion zmiotę żelaznym ciałem
Podpalę miasta technieniem gorącym
iz tak zgorzeją, jak żużel biały.

Tańcz razem ze mną, świszcz razem ze mną
niechaj się piętrzą groby na grobie —
Cała nauka siłą tajemną
będzie nam służyć — i mnie i tobie.

I rozbijemy w miazgę czerwoną
najmniejszy atom i jądro życia
aż prochem tryśnie rdzeń elektronów
w szumie zniszczenia, w orgii rozbicia

Aż świat zmiażdżony będzie i starty
wspólną zasługą — twoją i moją.
Krzyknijemy wówczas ziemi rozdartej:
...«że dla ludzkości, — i dla pokoju»...

JAN WINCZAKIEWICZ

Heroizm

Choć wiem, że nic nie zmienię
i nic nie przeinaczę,
zanoszę się miłością,
jak wielkim, wielkim płaczem.

I chociaż wiem, żeś słaby,
jak marna, wiotka trzcina —
rzucam się piersią w Boga
i klnę, i klnę, przeklinam.

SIEDEM KRÓW CHUDYCH

~ Fragmenty powieści ~

Pod «Różą» wielka sala zarekwirowana przez Organizację Todt mieściła osiemdziesiąt piętrowych łózek, sala mniejsza łózek dwadzieścia pięć, ale dużo więcej brudu. Dwa razy tygodniowo mycie podłóg, wymiatanie obszerne go podwórza, i schodów i ganku zajazdu, gdzie dla zachęty i umocnienia ducha stary niemiecki inwalida wojenny z 14-tego, otrząpywał fajkę o kikut drewnianej nogi i rozprawiał o nowinach z frontów. Ten wierzył najdłużej — ale to późniejsza historia...

Tymczasem Olga zrozumiała dobrze instrukcje — obejrzała nową miotłę z kiepskiego gatunku trawy i podciągnęła spódnice, gotowa do pracy. Komendant powstrzymał ją dobrotliwie: Zacznie jutro o szóstej rano, i do szóstej wieczór będzie miała dość czasu na wypełnianie poleceń lokatorów obu sal.

Na dole pod «Różą» Frau Mizgier wypiekała kartkowy chleb. Zdarzało się, że po odpowiednich namowach dawała się skusić na dwadzieścia marek (musiał być w jednym kawałku) i sprzedawała kilogram chleba bez kartki.

Natomiast gospodyni z pod «Stońca» miała serce lepsze, które wzruszało się już od pięciu marek wzwyż. Niestety trzymała na sprzedaż tylko «most» i zawsze z tej najświeższej beczki. Frau Staab uważała męża za straconego na froncie wschodnim, dlatego była ciekawa nas — barbarzyńców wschodu — mimo hitlerowskiego wieku oświecenia niebardzo orientując się jaka zachodzi różnica między Rosjanami, a Polakami, i czy wogóle jakaś większa różnica zachodzi.

Frau Staab, podstuchując pod drzwiami bawialnego pokoju zajętego na biuro płacy — weszła tam w chwili, gdy komendant rozpytywał Karola Rozdeptanego (deptano go wszędzie i zawsze: ale przydomek dano mu znacznie potem, gdy właściwie nie było już co rozdeptywać), czy dobrze czują się na nowym miejscu. Frau Staab pośpieszyła odpowiedzieć za niego, że w jej domu zapewne czują się nie-najgorzej, tylko pytanie, jakie jest jej samopoczucie. Mąż stracił dla ojczyzny. Powiada się: obowiązek. Ale dlaczego OT okupuje cały zajazd i parter i piętro... można śmiało powiedzieć: salon na pierwszym piętrze oddano brudasom ze «sztolice». Nie wycierają nóg, zasmrodzili mieszkanie karbidem, zainstalowali radio — coś i tak nie ma co przez nie słuchać wobec ustawicznych komunikatów... w tym miejscu komendant podniósł dłoń, opartą na brzuchu i zaraz z rezygnacją ostrożnie złożył ją na stole. Frau Staab przychodził zastrzec swoje prawa do nowej sprzątaczk. Prowadząc przed wojną pensjonat i restaurację miała do pomocy trzy dziewczyny, ta jednak wygląda zdrowo. Czy rozumie choć trochę? Dzięki Bogu. Ostatnia do niczego — którą pan komendant przyprowadził, trzy razy uczyła myć płyty przed domem. Ona swoje. Uparte są te dziewczyny. Jak się ta nazywa po niemiecku? Komendant wstał.

— Otóż, Mario — będziesz sprzątać biuro, wypalać rano piece, z podwórza gdzieśmy dziś stali przynosić obiady i kolacje urzędnikom, prać ich bieliznę i oddawać ją wyre-

parowaną — w porządku. Staramy się ułatwiać wam pracę, nie utrudniać, zatem bieliznę możesz zabierać do obozu i wieczorami szyć. Sala na górze musi być myta...

— I korytarze i ubikacje... Zresztą ja sama pokażę. Jeszcze minutę, panie komendancie, proszę zapowiedzieć, że ja mam w domu wszystko policzone i zapisane. Ta ostatnia podbierała mi jabłka, codziennie po jednym z dużego kosza. Jeśli Maria będzie dobrze pracowała, zostanie u nas do wiosny i pomoże mi w ogrodzie. Cóż, kiedy one wszystkie są dziwnie uparte...

Idziemy — pajaki po własnej pajęczynie. Krok w krok za myślami. Błotem coprawda. Czymże jest błoto? Ziemią i wodą w nieharmonijnym połączeniu. Dwa żywioły dają trzeci, a ten skolei daje się nam we znaki. Idziemy cicho, niby pajaki, na wysokich drewnianych podeszwach po papce drogi na pniu krzyża Hassmersheim-Lager Briegemana.

Tak się odbywa powrót z pracy — gdy każdy odpoczywa mięśniami, i stara się nadażyć za myślami. Ale myśli bezpłciowe pajęczyną omotowują się o dwa ramiona krzyża: Hassmersheim-Lager Briegemana.

W błocie kąpią się nasze obojętne cienie od światła u wylotu podziemnej fabryki, dla której przywieziono nas wszystkich.

Światła stoją po drugiej stronie Neckaru — przestały mnie niepokoić, odkąd pracuję w miasteczku.

«Przekłeta dziura» — określa Zina ten Hassmersheim.

Nie. Przekleństwo zaczyna się dopiero kilkaset metrów pod ziemią, w tunelach, drażnionych pod górą, na której osiadł szesnastowieczny zamek Götza von Berlichingen. Przekleństwem są lampy karbidowe wydymające zapachem płuca. Wagonetki żelaznym sznurem podjeżdżają z dołu: «Loss». Cierpnący nad łopatami kark, gruz ze zwierem brzęczy o ściany wózków. Z gruchotem zjeżdżają w dół, znikają za zakrętem, by znów, by znów... gorąco upalnego dnia tylko cienia w tunelu nie znaleźć. Czarną śliną wypływa się płuca. Pracując na nocnej zmianie chwytają się jeszcze kilka okruchów szarego świtu, nim nie wpadnie się w sen skokiem z wysokiej trampoliny rzeczywistości w grząskie, słodkie bajorka półzucia.

Przy dziennej zmianie noc trwa pełnych czternaście dób.

— Tak — zgadza się Mitia — ładowanie wózków, to nie kuchnia, gdzie można kombinować, czy posiedzieć, czy pogadać. Długo też nie pozwalają w tej samej kuchni pracować.

Łydki Ziny drżą przy szybkim kroku. Masywna jest ta Zina, jak większość dziewcząt rosyjskich naszego obozu. I ciepła w największe chłody. Pośladki, obciążone faszyną szarym kocem (jeszcze z Vaihingenu) z którego krawiec Fiedor Fiedorowicz miał skroić elegancki płaszcz angielski, widziany w ukraińskiej wyobraźni, a zmajstrował wąską workę biernie rozwartą na spiczastej piersi. Czerwona chusteczka (bo czerwony beret odkłada się do «wielkiego dzwonu») raczej półchusteczki, zwanej przez nie «kasynką» płacze się o wilgotny wiatr. Misza co pewien czas staje nasłuchując nad brzegami kałuż. Grzmiał. To

jeszcze nie wiosenne grzmoty. To daleka artyleria.

Od wschodu, zachodu, północy i południa otaczają nas wzgórza. Leżymy w dolinie i echa przechodzą nad nami. Ormianin wykalkulował, że — gdy hukł przesuną się między dwa kominy fabrycznych ruin — znajdziemy się w okrążeniu. Na okrążenie czekamy od sześciu miesięcy.

Ormianin przysuwa się bliżej, zziębniętą rękę z trudem wyrwa z kieszeni — wyciąga na zachód.

— Tam — znów dwa miasta — słyszałem — zniszczyli.

— Jolki zielone ! Znów nowe dwa ? Skąd się te miasta biorą ? Coraz to inne wyłazą. Same miasta — ta Germania.

— A, stepów w niej nie zobaczysz. Łąki i lasy są przecie ciekawe, czy też mocne bunkry po polach... Ciekawe...

Miszę wiele rzeczy ciekawił. Wiele rzeczy naraz. Dlatego może z Miszą rozumiemy się doskonale, bo inni, którzy poprzednio pracowali po różnych kuchniach, budowach i drogach — ci nie potrafili ocenić, czym jest patrzeć na życie powierzchni, na zmianę nieba, na bezbarwne przedwiośnie niemieckie.

— Wpadnij do mnie pod «Różę» — zaprasza mnie Olga — spróbujemy naciągnąć na chleb starą wiedzmę Mizerową. Co ona z markami robi ? Widać papieru Niemcom brakuje. Przyjdź, przyjdź, na dużej sali śpi teraz kilku, co po twojemu gadają. Ty Polaczka, prawda ? No, Ja ich rozumiem, to nie trudnego. Ale przyjdź, pogadajcie sobie.

Przed wejściem do obozu wisi silny reflektor.

...Kolebią się postacie z taczkami przyrośniętymi do ramion. Jeńcy wojenni zakładają na dziedzińcu łaźnię. Wartownik Herman, czeski Niemiec pełni służbę przy furcie. Można nie obawiać się rewizji. Herman udaje, że nam sprzyja. Od mężczyzn za tę życzliwość dostaje od czasu do czasu garść kradzionej po fermach «tabaki», czasem ćwiartkę przemycanego sznapsu.

Nie przed Hermanem cofa się Motia w środek naszej grotnadki.

— Schowajcie mnie, Ormiaszka ! Dojrzy jeszcze ta swolocz, Semafor.

Semaforem nazywałyśmy komendanta tylko w rozmowach ściśle poufnych. W okolicy mówiło się Lager Briegemana, jak się powiada gabinet Daladier, Włochy Musoliniego, czy świat Al Capona. Popularność zawdzięczał Briegeman swojemu wynalazkowi, wiele ciśnień, pozostając po dawno zrujnowanej fabryce. Z wieży zrobił więzienie własnego pomysłu, dla kar doraźnych. Inne obozy gęsto rozsiane na przestrzeni Heidelberg—Heilbronn przesyłały nam swoich przestępców. Briegeman starał się, by więźniowie po odsiedzeniu wymierzonej kary długo zachowywali w pamięci ten uroczy zakątek doliny neckarskiej.

Samoloty sprzymierzonych znają dobrze tak charakterystyczne z góry dwa kominy fabryczne, symetryczny prostokąt obozowego dziedzińca z wieżą maszyną i przysadziłą. Za budynkami obozu rozciągnięte były trzy wielkie namioty, zajęte przez rosyjskich jeńców wojennych. Bowiem za drutami naszego ogrodzenia rozciągały się inne druty, w godzinach melancholii dające przykre wrażenie, że ziemię pocięto drutami gęstszymi, niż siatka geograficzna na globusie szkolnym, że się człowiek nimi uwikła, oplecie i będzie chodził taki koleczasty, nie mogąc przytuścić się do drugiego, — o przecie tak zimno. Z tego, co nieraz wyniknęło się z za tamtych drutów, lepiej się było powiesić, niż agonizować pod namiotami, ale nikt się nie wieszał, bo wynaleziono dużo łatwiejszy sposób umiera-

nia: wystarczyło ukraść zgniałą marchewkę, czy kartofle z piwnic obozowych, odkopywanych po polach...

Nazewnątrz nie wyróżniał się nasz obóz niczym specjalnym. Parterowe baraki, według przepisu zaciągnięte ochronną farbą, kancelaria w pierwszym budynku, kwatery strażników, apartamenty samego Briegemana, dwa «nasze» baraki, a naprzeciw — rodzin rosyjskich, ewakuowanych podczas wycofywania się Niemców. Przy podłużnych basenach umywalni — jak wszędzie, w każdym obozowym życiu — gnieździły się szczury, w budynkach my i pluskwy polowaliśmy na siebie wzajem.

— Więc, czy można za wami «pouchażywać?» — nalegał Misza, wyrażając się prostymi słowami swego pokolenia.

— Jolki zielone — oburza się ze śmiechem Zina — takie dziecko. Matki ci trzeba.

— Jemu osiemnastka idzie — wstawił się za Miszę Ormianin — tylko on takiej uważacie, budowy. U nas dziewczęta rosną, silne, pełne, a my, niebożęta, karlejemy.

— Uwaga.

Briegeman lubił patrzeć na swój dziedziniec czysto wymieciony z ludzi.

Gdy pierwsze grupy zaczęły wracać z pracy, wychodził na swoje ruchome stanowisko, między furtką, a wierzwą jedynaczką, nad klombem, zachowującym jeszcze kształt i badyłe nagietek. To był solowy motyw dekoracyjny podwórza. Codzień — od szóstej wieczór do dziewiątej. — Wielki Briegeman rozprostowywał chore kolana na tym odcinku podwórza. Ze ścisłego rejestru twarzy, które fenomenalnie pamiętał, wykreślał teraz jedną za drugą. Idzie się od furtki gęsiego i mijając go należy powiedzieć : «Guten Abend», czy równie dobry «Morgen». Etykieta zaprawiana rygorem.

— Wania, przechodząc nie patrzy na Briegemana. Nie mówi wymaganego pozdrowienia. Odkąd Wania dostał rzemieniem przez pół twarzy w kancelarii — zhardział, milczy i czeka, aż mu zwróci uwagę. Przygotował sobie odpowiedź po niemiecku i jeszcze mały dodatek rosyjski. Briegeman pojął Wanę. Gdyby chciał już jutro mógłby go usunąć z obozu. Niemal każdego dnia przychodzi z Frontfuhrungu zapotrzebowania na robotników tu i tam w okolicy. Cóż jednak za korzyść z wysłania tego draba do fabryki, czy na inną budowę, gdzie go jeszcze nie znają, gdzie będzie mógł swobodnie praktykować swoje sztuczki wymigiwania się od roboty ? A tu — powolutku przeszkolił się go do najcięższej pracy. Briegeman nie jest z tych nieautonomicznych Niemców, dla których pierwszy obowiązek stanowi ściśle wypełnianie rozkazów. Briegeman prócz tego ma spory zasób własnej inicjatywy i przemysłu w każdej sprawie. Briegeman między innymi posiada i tę zasadę: «Nie spuszczać z oczu wroga, choćby to była mucha — wyciśnij z niego choćby to był komar — wszystkie soki dla dobra Reichu».

Briegeman miał uprzejmy sposób obejścia. Na Wanę nie spojrzał. Przeszedł łamanym krokiem od wrót i tu z łagodnym wyrazem twarzy kopnął psa Lotta, siedzącego na wyprężonym łańcuchu. Bez złości. Dla prostej zabawy. I Lotte, niebezpieczny pies Lotte — tak to rozumiał, chowając się z szacunkiem do budy. Z kancelarii wyszedł Paul, dając gestami do zrozumienia, że odłożona słuchawka telefoniczna czeka na komendanta. Briegeman nie miał zwyczaju opuszczać posterunku, tym razem na pilne wezwanie pokuśtykał do kancelarii. Lidia za oknem drugiego baraku dostrzegła Wanę i zamierzała ostrożnie zapukać w szybę. Od miesiąca porozumiewali się oczyma.

Krystyna-Grenadier idąca z wiadrzem wody od umywalni machnęła swobodnie ręką: «Nie ma».

Fakt niezwykły, że Briegemana nie ma. Nie była na to przygotowana. Wania ostro obejrzał się za siebie i szmyrznął za węgiel, Lidia schwyciła ze stołu bochenek zaoszczędzonego chleba na wymianę za nowe drewniak — i stuknęli się o siebie przed drzwiami. «Wania» w pośpiechu nie trafił na jej wargi, choć tyle razy w myślach czynił to doskonale; patrzył półobrócony na Krystynę, która postawiła wiadro i udawała, że rozciera sobie mięśnie przedramienia. Wania wzdragał się przyjąć chleb, musiał najpierw pomacać ją, czy aby żeber nie widać, potem wyszarpnął z pod marynarki kilka szczap drzewa, cisnął je na korytarz i nim Krystyna schyliła się z pośpiechem nad wiadrzem, zdążył uściśnąć dziewczynę i skoczyć za barak. Jeśli na drodze nie napotka wachy, szczęśliwie wyląduje u siebie. Ostatecznie jeden wieczór więcej posiedzi w chłodzie... bochenek chleba... poreja pięciodniowa! Stąd gdyby zmienili przez jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności Lager Briegemana na inny, natychmiast poszliby do kancelarii zapisać się jako małżeństwo.

Około trzech minut rozmawiał Semafor przez telefon. Wrócił zadowolony, obliczając szeptem ile worków mąki z magazynu obozowego uda mu się wymienić na sznaps u miejscowych oberżystów. Potem i tę kwestię, ku rosnącemu zadowoleniu, rozwiązał. Uśmiechnął się i podpatrzył, że baba wracająca z «włoskiej» kuchni, ma nadmiernie spęczniałe prawe biodro. Dopadł ją z tyłu i poklepał po wypukłości.

— Ach, so — odezwał się ze spokojnym smutkiem — czy ci się optaci za kilka marnych rzodkwi dwa tygodnie więzy? Paul!

Zapukał końcem palca w okno dyżurki. Baba stała posłusznie. Paul ukazał się z kluczami. Pełnił funkcję klucznika więzienia.

— O, liebe Zeit — gdzie ja ją umieszczę?

— Najdziesz dla niej ciepły kątek. Stare próchno, ledwie się łańcuchy trzyma. Niech sobie dwa tygodnie odpocznie.

Baba nie była z tych, co wyją. Nazywała się Soroka i odsiedziała rok i trzy miesiące mińskiego więzienia, zaznamiając się zbliżając z różnorodnymi metodami badania gestapowskiego. Była moją przyjaciółką, spała również «na piętrze» tego samego pokoju.

— No, otwieraj swój pałac, Paul — powiedziała po rosyjsku. — Mnie tym, braciszku, nie nastraszysz. Miesiące jak kartofle szmugluję, raz wpaść należy...

— Masz szczęście — odrzekł nic nie rozumiejąc, Paul — że jesteś w Lagrze Briegemana. Inni dostają za to kulka w łeb, a ty... małeńki spacererek nocą dla zacerpnienia tchu... i dwa tygodnie kmórki... O, liebe Zeit.

Od mistrza Briegemana przejął Paul grzeczny sposób obchodzenia się z klientelą. Zamknął starannie drzwi celki, pozostawiając Sorokę z przyczą kamienną, okienkiem z «kapturem» i jednym kocem.

— Nu, ładno — pogodziła się z wypadkiem Soroka. — Co Olka i Krystyna pomyślą, że tak długo nie wracam?

Chciały dziś piec blinki kartoflane. I sałatkę z rzodkwi natarkować. Dziś imieniny starszego syna Anastazji Szyłowej. Matka pamięta o każdym dniu świątecznym swojej dalekiej rodziny. Nie uda się ten dzień...

O siódmej Semafor krótkim gwizdkiem oznajmiał kolację. Z okna kuchni wyjrzała czarna głowa Neapolitańczyka, Donata Ferari, i wasy Polaka Wesołowskiego. Na podwórzu czerniło się aż do klombu. I jeszcze ze wszystkich

stron zbiegali się w mroku. Najpierw barak ewakuowanych rodzin, elita tutejsza (własne pierzyny, bielizna pościelowa, gitara starego Fadiejka), potem mężczyźni, potem kobiety. Jak w tańcu, para w lewo, para w prawo, Semafor kieruje ruchem publicznym. Krystyna rozczarowała się. Zamiast otrzymanego na jutrzejsze śniadanie salcesonu — zw. szkłem na miękko, spodziewała się kosteczki margaryny, gromadzonej cierpliwie na smażenie dzisiejszych blinów.

Soroka nie pokazywała się. Kobiety z jej kolumny czekały opodał na kolację.

Korytarzem stukają drewniak. «Zamykajcie drzwi — wołały — Alarm».

W razie niedokładnego zaciemnienia Briegeman strzelał w żarówki. Ale kłoby domykał rozhuśtane drzwi, jeśli już zaczęli dawać o dwa kartofle mniej, i wkrótce może wogóle zabraknąć.

Anastazja Szyłowa, żona szewca z Narwy, zawiesiła nad przyczą obrazek znaleziony na moście. Takie obrazki sprzedawano i w Narwie, dlatego niech wisi i przypomina dom. Dwa uśmiechnięte koty z kokardami bawią się kolorową piłką. Hej, dawno nie widziało się tak ładnych i czystych barw. Szkoda, że pocztówkę ktoś przełamał na pół i brzydka kreska biegnie między kotami. Strażnik myślał, że Szyłowa zgina się po ulotkę. Gdzieżby się doleżała ulotka na środku mostu w biały dzień? Rzuciły dziś samoloty białe i czerwone papierki, ale nawet po polach rozbiegły się dzieci hassmerskeimskie i znosiły w triumfie na żandarmerię ściśnięte w garściach pomięte ciała odezwnadziei nędzarzy w rodzaju Szyłowej.

Od Rozalii z cygańską twarzą dowiedziała się kamera Nr. 9 o uwięzieniu Soroki. Pomartwiono się troszkę, nie pożalowano należyście, natomiast zgarniono nieroztropność. Bez Soroki wieczór nie będzie udany. Kwaśna i ponura była Soroka na codzień, ale śmiesznie słuchać jej nawet gdy się złości. Przy dobrym humorze umiała gadać, czyli stawiać kabałę, wymacując sugestywnie przyszłość. Od rana — przypominano sobie — Soroka przeżuwała... zabiła niechcący pajaka, który ludzkie szczęście do Boga niesie. Nie doniósł szczęścia Soroki.

Zamiast blinów zrobiono kisiel na lemoniadzie i mące kartoflanej. Lemoniadę dostawało się od Nataszy, pracującej w miasteczkowej rozlewni piwa. W pokoju zrobiło się przytulnie od palącego się pieca. Na piętrach przycz ledwo się oddychało. Anastazja siedzi na stołku, spokojna i godna opowiada o swoim synie, tym, przez którego dostała się do więzienia. Chciano się od niej dowiedzieć, gdzie się Sieroża podziewa. Nosila mu do lasu odzież i jedzenie. Słuchamy tego opowiadania bodaj po raz trzydziesty, tylko poto, by nas skolei wysłuchiowano. Gdy już wyczerpią się tematy i te o wojnie i te o czasach, które nastąpią — zaśpiewamy kilka pieśni, ktoś sobie przy nich popłaczę i zaśniemy w błogosławionym cieple.

— Gdyby nie to — kończy Szyłowa, — że Sieroża i Niureczka daleko... Niureczka taka zdolna, «dziesięcioletkę» robiła... nie najgorzej by było i tu... Pracowałam ja i przed wojną nielekką. Z jedzeniem też można od biedy przetrzymać.

— Siyszę, że u was wieczorynka — zagląda przez drzwi Lidia. — I piec gorący, ho, ho... A mnie przy szyciu palce zgrabiły. Dajcie posiedzieć. Soroka w więzy, co?

Krystyna zaczęła lamentować. Tydzień, jak Olę z bunkru wypuszczono, a teraz znów...

— «Gorie» — śpiewa, spluwa — Olga ze swego poła-

nia — Wieża ! Tragedia ! Nie mi się nie stało. Pierwszej nocy trochę niewyraźnie było, kiedy Paul wszystkich na mróz powypędzał i nahałką ganiał naokoło klombu. Mężczyznom kazał buty zdejmować, a baby jeno po... bił, dla rozgrzewki. A psa ma uczonego. Balam się, że jak go z łańcucha spuszcza, będzie się na nas rzucał. A on sobie z boku na dwu łapach siedział i tylko ślepiami błyskał.

— Soroka, to nie ty — przerywa Krystyna-Grenadier — wczoraj mi powiedziała, że długo nie przetrzyma...

Lidia nie wierzy w chorobę Soroki. Cóż to za choroba, jeśli po niej nic nie znać ? Uduje tylko to chytne złótko, aby jej inne nie zazdrościły lekkiej pracy. Całymi dniami kartofle obierać, phu !

Krystyna wzrusza ramionami. Wyciąga długą szyję i patrzy na mnie : znacząco : «Margusza, a ?»

Nigdy nie zdarza się jej podobne natręctwo. Ale tym razem to moja wyłączna wina. Zapomniałam.

...w biurze pod «Słońcem» można znaleźć sprzątając tyle okurków, że wypełnia się pudełko od zapalek. Początkowo zbierania szło gładko. Potem podpatrzył mnie Karol Rozdeptany i zgarniał mi najsmaczniejsze kaski: «Ty je pewnie wymieniasz na chleb ?» — zapytał zjadliwie. Te okurki rzeczywiście wymieniam je na coś znacznie lepszego niż chleb: na mały «erzatz» uczucia. Wracam co dzień do obozu z ciepłą myślą, że ktoś na mnie czeka, że ktoś wyjdzie po mnie aż do furtki, że zdaleka dojrzą szarą chustkę Krystyny-grenadiera, prostej, wielkiej, niemal przerastającej drut. Krystyna nie zdradza się, czemu oczekuje mego powrotu. Jestem za to wdzięczna... tak trzeba ? Dopiero w baraku, gdy wypyta troskliwie, jak tam z pracą, czy Kiteł znów krzyczał, co mówią o końcu wojny, dopiero wtedy cierpliwość Krystyny wyczerpuje się: «Margusza, a ? Nie ma dziś nie zapalić ?» Żałosna przytym jest i przykro jej samej upominać się o to, więc ustaliliśmy milczący porządek rzeczy: w chwilę po zjedzeniu kolacji oddaję jej pudełko od zapalek, uwalniamy okurki z bibulek, rokujemy tytoń i na nowo kręcimy w gazecie.

Przez ścianę pokoju przesącza się «Katusza». «No, — woła Lidia — już myślałam, że go na dzisiaj nie poproszą.

Prosił go kilka razy w tygodniu, nawet częściej. Ie razy z nudów zechcieli posłuchać jego gitary i starczym głosem wyśpiewanych melodii. Jeśli mieli sznaps, częstowali go żelaznym kubkiem, jeśli mieli papierosy, wypalał je z przyjemnością. Skoro uważali, że mają dosyć, jeden z nich, Fritz, czy Paul nieraz sam dowódcą Wachy, brał go za kołnierz tołuba i kopnięciem wyrzucał za drzwi dyżurki. Często stary Fadiej upadał ze śliskich schodów, ale gitarę, wysoko wzniesioną nad głową, chronił rozpaczliwie od rozbicia.

Lidia złożyła robotę na kolanach. Wania ze swego baraku powinien również słyszeć gitarę.

Lidia nie wie jeszcze, co przypomina Wani gitarę: Było to w dniach przedwojennych, kiedy wierzyło się w pisma Lenina, że wojny wykluczone są z metod podboju. W tych dobrych czasach miał szczęście — w Charkowie to było — otrzymać pokój wielki, coś na 20 kwadratowych metrów. Miał jeszcze większe szczęście przemieszkać w nim samotnie kilka dni. Wreszcie przyszedł z kartką od «Uprawdoma» stary, sympatyczny Żyd. Zaraz pierwszego wieczoru Żyd upił się i upijał się tak co wieczór — na smutno, na przeraźliwie smutno. Kładł się na łóżko i

pół nocy jęczał i szeptał się ze sobą... Wania posadzając go o kłopoty materialne, proponował pożyczkę. Aron pożyczkę przyjął i przepił, nie przestając cierpieć. W szafie, którą wspólnie zajmowali na korytarzu, w przegródce Żyda wisiały dwa nowiuteńkie ubrania. Widać nie wiodło mu się tak źle. Pracował jako krawiec w dużym zakładzie i nawet chciał przystąpić się Wani uszyciem płaszcza po cenie rządowej. Coś nie zgadzało się — ze starcem. Może zreszlą mężczyźni go nieodgadniona choroba starości ?

Popołudniu dnia Sylwestrowego, obchodzonego w Rosji bardzo uroczyście — Aron wrócił do domu z uśmiechem między brodą a wąsami; zamiast sięgać nad butelką, kręcił się po pokoju, robiąc wrażenie zaafektowanego sprzątaniami.

— Przyjdzie tu do mnie pewien gość, obywatelu — zwrócił się do Wani, — gość nie tylko na dziś, gość z rzeczami, z kufrem, nawet z dwoma kuframi. I będzie tu mieszkał. Ja wam więcej powiem. Obywatelu, ten gość będzie tu nie tydzień, ani miesiąc mieszkał, on tu zostanie na całe życie, bah, co ja wiem, może i sto lat, bo życie tego gościa może i sto lat potrwać.

Wania zaprotestował. Dziewięć metrów na osobę tworzy metrów osiemnaście, a tu dwa zbywające, nawet jeśli ten gość ma przed sobą jeszcze sto lat do przeżycia, tak czy tak będzie im obu zawadzać. Wania zaprotestował miękko, bo mu zależało na dobrym humorze Arona. Chciał pożyczyc sobie z szafy w korytarzu nowego ubrania na sylwestrową zabawę w świetlicy fabryki.

Rankiem następnego dnia wślizgnął się do mieszkania i na swoim łóżku, które go tak silnie całą drogę pociągało — znalazł kogoś, kto przy świetle okazał się ciemnowłosą dziewczyną, z nagim ramieniem nakazującym ciszę:

— To wy Iwan Wasiliew ?

— To ja i to moje łóżko.

— Nie krzyczcie tak głośno, proszę was. Dziadunio znieczony i ledwie zasnął. Kładźcie się koło mnie, miejsca starczy, nie macie się o co gniewać, każdy ma prawo się przespać.

Wania ze wściekłością zepchnął dziewczynę pod ścianę. Był przyzwyczajony do swobodnych ruchów we własnym łóżku.

O tej dziewczynie wspominał, gdy za ścianą odezwała się gitara Fadieja. Ama grała na gitarze, która zajmowała jej drugi kufer wraz z parą wykoślawionych pantofli. Mieszkali we trójkę, a gdy stary Aron wpadł po pijanemu pod auto, zarejestrowali się w urzędzie i Ama została jego pierwszą żoną, a on jej trzecim mężem.

Możeby jej teraz nie wspominał, gdyby go wkrótce nie porzuciła, dla lotnika, za prawo kupowania w «Wojen-torgu».

Lidia ze swej starej koszuli wycina Wani chusteczki do nosa. Zgrabnym Richelieu obrobiła urodzinowy prezent.

Słuchajcie, babki, jaki ja dzisiaj sen miałam. — Strzelali na polnej drodze. Nie wiem, kto tak strzelał. I mnie sięgło... W głowę, tu — Krystyna pokazuje potylicę — wyrwało mi całą czaszkę i ludzie myśleli, że ja już nie żyję. Zresztą ja sama tak myślałam...

Widocznie wiadomość, że u nas pali się piec i można przełknąć parę łyżek cierpkiego kisielu, rozplynęła się po baraku. Inaczej nie wypada tłumaczyć wizyty Kławy. Majestatyczna Kława, sprzątaczką samego Briegemana, który zamykał się z nią w pokoju w godzinach przedobiednich, gdy obóz był na pracy. Nigdy nie odwiedzała

nas bez pretekstu. Tym razem przyniosła parę drewniaków dla Szyłowej.

— Podobno nie macie w czym chodzić...

Drewniaki okazały się o wiele za duże.

— Szkoda, że to nie w domu — żartuje w czasie mierzenia Szyłowa — mały kłopot, jeśli w sklepie odpowiedniego numeru już nie było. Dajesz ogłoszenie do gazet, że chcesz wymienić numer taki na taki i wieczorem wybieraj, jaki dusza zapagnie.

— Możebyś się i dla mnie o takie buciutki postarała, Kławeczka, — ogląda drewniaki Rozalii. — Co to dla ciebie znaczy? Cmokniesz w mordę swego Semafora i zaraz ci otworzy wszystkie magazyny.

— Popróbuj sama — odcina Kława — nie taki on skory do dawania. No, bierzecie drewniaki, Szyłowa?

— Niech ci los zapłaci, Kławeczka, za poratunek. Siadźże przy piecu. Popróbuj naszego kisielku. Dajcież jej stołek, Olga, Krystyna.

Kława siada i natychmiast warzy się rozmowa. Nie

zapomniano jeszcze drobnego nieporozumienia w pokoju 15-tym: Zyczliwi mogą sobie tłumaczyć jak chcą jej pretensje o lepsze życie jednostki. Cóż ja miałam, coż ja widziałam? — niech sobie Kława zadaje po cichu podobne pytania. Tyko niech nie krytykuje przeszłości ich wspólnej, niech zarzutów nie stawia wobec obcych, wobec Łotyszów, którzy tylko czyhają, by ulokować gdziekolwiek rozpieszczającą i ich nienawiść.

Anastazja Szyłowa była pierwsza, która opuściła pokój 15-ty ze słowami:

«Zły to ptak, co swoje gniazdo kala».

Ileż razy, Anastazjo Szyłowa, chciałabym cię cytować dziś jeszcze:

«Nie grzebieć się w śmieciach, wyrzucanych z własnego domu na główną Europejską ulicę. Pozwólcie ogółowi porównywać poprzez zmiany, ulepszenia, doskonalenia. Skończcie z wyzywaniem się z za płotów».

(C. d. n.)

Przekłady z francuskiego

GUILLAUME APOLLINAIRE (1880 — 1918).

ROGI MYŚLIWSKIE

Opowieść nasza jest tragiczna.
I jak tyrana maska wzniosła.
A żaden dramat gdzieś magiczny
Ni żadna w życiu mdła białostka
Nie czy miłość patetyczną.

A Thomas de Quincey gdy pił,
Opium, truciznę słodką czystą
O swojej biednej Annie śnił
Mijajmy mijaj przecież wszystko
Ja nieraz się odwrócę w tył.

Wspomnienia to rogi myśliwskie
Których dźwięk wiatr obraca w pył.

KLOTYLDA

Pantofelek i przyłaszczka
Wszesły smukłą latoroślą
Gdzie w ogródku smutek wzrasta
Między wzgardą i miłością.

Nasze cienie tam się garną
Noc je oba wnet rozprószy
Słońce co je czyni czarne
Z niemi razem zniknie w głuszy.

Wód biegących wiotkie bóstwa,
Dają włosom splywać ładnie
Mijaj, ścigaj i nie ustań
Śliczną marę której pragniesz.

POŻEGNANIE

Zerwałem Ci gałązkę wrzосу
Pamiętaj jesień wrzesień mrze
Tutaj nam spotkać się nie sposób
O woni czasu wiązko wrzосу
I pomnij, czekam, czekam Cię.

Tłumaczył z francuskiego ALLAN KOSKO.

BRONISŁAW KAMIŃSKI.

Orfeusz

I cóż począć z tobą Orfeuszu zielonooki
na skraju ośnienia chwyciłeś swą lutnię,
z błękitem spletałeś srebrzyste potoki
i gwiazdy które lśnią smutnie.

I wszedłeś w poranek przepętniony zapachem kadzideł
aby w cieniu jarzębin ucałować poetyczną Safo,
i zdrożną miłość uchwycić w dłonie mamideł
aby do domu więcej nie trafić.

Przez wzruszenia jak przez drogi szedłeś
w otwartych źrenicach coraz to nowe wizje tworząc i
dziwy

na trawy, na liście, na kwiaty świeże i zwiędłe
rzuciłeś ważkość zdarzeń prawdziwych.

I oto szedłeś ku miastu stratanemu przez pocałunki
z plakatów odlepiełeś ludzkie życie,
i za czyjeś krwawe i bolesne wizerunki
westchnienie topiłeś w błękiecie.

Ku człowiekowi, który zbudował sobie niewolę
jak do brata przyszedłeś i oddałeś mu serce
i oto z koroną cierniową na czole
do maszyn jak do krzyża przybite masz ręce.

Byłeś zawsze z tymi, którzy z piwnic wychodzili na
światłość

i jak cienie chcieli oderwać się od murów
z ulicy podnosiłeś Afrodytę upadłą
i na jej cześć zwoływałeś magnetyczne chóry.

Aż miasto wyciągnęło włochate łapy ku tobie,
i chciało zdławić twój dziecinny romantyzm
żelazną kolumną stanęło na grobie
i po widnokęgach rozwiała krwawe amaranty.

Wtedy śmierć tuliłeś jak najwierniejszą kochankę
albo zmożonym prawdziwym pragnieniem i prawdziwym
głodem

piłeś zapach wspomnień i zapach rumianku
patrzac jak naród konał za narodem.

Lecz znowu wszedłeś w ulice i blaski
pełen nowych doświadczeń i nowych zamierzeń
bo po jednej stronie jest trud a po drugiej oklaski
a u nóg ludzkość ujarzmiona jak juczne zwierzę.

I jeszcze jesteś słaby, choć zaród sił się budzi w wese-
stehnienu
jeszcze kroki są chwiejne i gudze
w osłupieniu

tylko jakiś przechodeń stanął pod twoim wzrokiem
i rzekł: — ten śpi — jak go obudzę.

Patrz kwiat się rozwija w oczach północnej Eurydyki
i choć Eurydyka zawsze prowadzi do piekła
Orfeusz musi ją kochać w sposób pierwotny i dziki
bo go legenda urzekła.

O trochę uśmiechu na kamiennym bruku,
bo gdy się mięśnie i ścięgna zerwą do skoku
jaskółki będą o szyby stukać
a gladiator zwycięski stanie wśród proroków.

PIOTR WISZNIEWSKI

Wiosna w parkach ryskich

*Pośród gwaru miasta jak pośród morza wrzącego ..
znajdziesz wyspę ciszą i spocznieś sam jak rozbitek,
i słuchać będziesz jak nad kanałem na brzegu
betzroskim szczebiotem zielona wiosna rozkwita.*

*Aleje powiodą poprzez flamandzkie pejzaże
w krajinę idylli do słów poetów tęskniących,
i chciałbyś tu wrosnąć i kwitnąć i patrzeć razem
jak wkrąg złotą rybki skaczą do wody ze słońca.*

*Lecz mostek misterny jak tutek napięty do strzału
trzyma cię nad wodą w objęciach bżów i zieleni,
myślamy się wzniostę jak ptak nad obelisk biały
i patrzysz na ludzi jak na pożegnalny wieniec.*

*Tam wierzby i graby wsparte na lustrze zielonym
czarodziejskim szeptem śpiewne ptaszęta zwolują,
schyliły się ku nim olchy i brzozy i klony,
komary jak doże na wodorostach żeglują. ...*

*Szumi mgła zielona, burzy się pieni kwiecieście,
to wiosna jak morze za tobą płynie z przestworów.
Czem powitasz słońce śmiejące się poprzez liście,
co przyszło pozdrowić tu drzewa z gór Ekwadoru ?*

*Tylko wkoło klombu wiosna nie tknęła swym tchnieniem
rzędów drzew czerniałych, smutnych jak jesienią mglistą:
stoją tu jak ludzie zniszczeni długim cierpieniem,
wydarci przemocą, wygnani z ziemi ojczystej.*

ANDRZEJ CHCIUK.

Kroki

Kroki. Kroki. Tyle kroków

Wolne. Szybsze. W prawo. W lewo.

Kroki w nigdzie. Kroki w dokądś.

Ku tym domom. Ku tym drzewom.;

Przez ten pasaż. Po tych schodkach.
Tamtym skwerem. W ten zautek —
— kroki idą nie do spotkań,
biedne, puste i nieczułe ...

Werbel kroków: Obce wszystko —
— jakaś stacja, jakiś hotel,
jakiś kościół, jakieś bistro,
jakieś szyldy, czarno-złote,
jakieś sklepy, jakieś domy,
jacyś ludzie — który raz to?
... i w Nieznane, w Niewiadome
wciąga kroki obce miasto ...

Gonia kroki. To się wloką.
Wolne. Szybsze. Głośnie. Cichsze.
Kroki błędne. Echo kroków
jakby dalsze, jakby bliższe. —
Fale. Serie. Kroki. Kroki.
Głośnie. Cicho — tak jak złodziej
popod światła czyichś okien
patrzeć w szczęście czyichś rodzin ...

Idą. Młaska asfalt w deszczu.
Szemrze żwirek w parku ścieżka —
Poprzez liście, co szeleszczą
poprzez progi czyichś mieszkań
poprzez wawóz ścian wysokich
poprzez bruki i wyboje
poprzez, poprzez ... wciąż — wciąż kroki
idą — nasze, moje, twoje ...

Idą, pełzną, dudnią, szepcą,
biegną naprzód: poco? — dokąd? —
— tu przystaną, tam podrepcą:
kroki, kroki, tyle kroków ...
Idą dalsze, idą bliższe,
idą nasze — nieznajome,
biją w rozgwar, pełzną w ciszę —
by się zgubić choć na moment.

Kiedy? Kiedy? — I wyskoczyć
marszem, biegiem — wiedzą dokąd! —
(Topią kroki się w tęsknocie,
czy też ona w fali kroków ...)
... Idą w mrok i idą w jasność,
w deszczu, w słońcu, w dzień i nocą —
— które z rzędu obce miasto?
— które z rzędu słowo: poco?

Idą, pełzną, dudnią, szepcą,
biegną naprzód —biedne — dokąd? —
tu przystaną, tam podrepcą,
kroki, kroki, tyle kroków
Ciszej. Cicho — tak jak złodziej
popod światła czyichś okien
patrzeć w szczęście czyichś rodzin. ...
I łąz ciepłe — i znów kroki ...

Drzeworyt tytułowy Kolumny Literackiej podarował z kole-
żeńskim szczerem gestem Stefan Mrożewski. Przybył on do Paryża,
aby wykończyć m. inn. tekę 80 drzeworytów, stanowiących godną
ilustrację wiekopomnej „Boskiej Komedii” Dantego.

Douce France

Na nocnym stoliku pali się lampka. Reszta wielkiego pokoju tonie w półmroku. Pod ścianą czarny klęcznik, nad nim krucyfiks. Olbrzymia szafa bretońska, rzeźbiona, z żelaznymi okuciami. W kącie stół, a na nim mundur huzarów z lat 90-tych. Mundur męża Mme B... Okno jest uchylone, noc mglista, zmoczona całodziennym deszczem. Z drzew, z gałęzi dotykających szyb, kapią wolno krople mgły i spadają z brzękiem na blachę framugi. W ogrodzie, w lesie za rzeką śmieją się sowy. Słucham ciszy. Z jakiegoś drzewa spadła gruszka i klapnęła o ziemię.

W tym domu, w tym pokoju i w tej ciszy, wśród monotonnego dźwięku kropel, cały dzisiejszy dzień wydaje mi się dalekim wspomnieniem. Kilka godzin stuku elektrycznego ekspresu, parę godzin jazdy rowerem, kolacja w jadalni, salon, stara broń na ścianach, Mme B... — wszystko stało się snem. Słucham kropel mgły, patrzę na pokój, na fotografie kobiet w krynolinach i mężczyzn w mundurach z tamtej epoki...

—oOo—

W tym roku jest tu swobodniej. Może dlatego, że mniej osób. Przynoszą mi śniadanie do łóżka, potem schodzę na dół. Nie czytam i nie myślę. Snuję się po domu, pod ścianami z starą bronią; wchodzę do mojego pokoju i usiadłszy w fotelu, zatapiam się w bezmyślnym przesuwaniu w głowie obrazów. Patrzę z okna na trawnik przed domem. B... siedzi na ziemi w kole szeroko rozłożonej spódniczki i maluje. Nad jej rysunkami pochylają się główki dzieci, milczące i skupione. Potrafią tak siedzieć godzinami i patrzeć, jak ołówek biega po papierze, jak po rysunku rozlewa się farba. Są jak zaklęte. A dalej chodzi maty Philippe zataczając się w swych pierwszych wędrowkach. Czasem przysiadła, patrzy wokoło i wygląda tak, jakby bezustannie czegoś szukał i nie mógł znaleźć.

W pokoju jest chłód starego i od lat nieopalanego domu. przez okna wpadają ciepłe powiewy. Zegar kościelny wybija dwukrotnie tę samą godzinę. Pod wieczór niebo zaciąga się chmurami i przychodzą długie, popielate wieczory. Błądę po domu i słucham Balzac'a. Gdy o szarej godzinie oprę się o starą komodę i patrzę na pokój ze schowaną w murze toaletą, z krucyfiksem ponad klęcznikiem, widzę inny dom — ten nad Loirą — «La Grande Bretèche». Słucham opowiadania Bianchon o Comtesse de Merret. Słucham? Nie! Widzę i przeżywam. Nigdy dobrze nie wiem, czy zapach pokoi, słowa ludzi i przedmioty przypominają mi Balzac'a, czy też on przypomina mi o nich; czy to wszystko, to on — czy też on jest tym wszystkim. Ktoś powiedział, że tym, czym był dla średniowiecza Dante i jego «Boska Komedia», tym dla 19-go wieku był Balzac z jego «Komedią Ludzką». Patrzę i dopiero tutaj rozumiem to.

I widziałem już Mera. Był taki uprzejmy, taki encyklopedyczny i płaski. Powiedział mi coś w rodzaju, że miasta powinno się budować na wsi, a wówczas powietrze będzie w nich zdrowsze. A gdy zauważyłem, iż jest dowieczny, miałem wrażenie, że z nadmiaru zadowolenia zatrze pod stołem swe krótkie nóżki. «Ci ludzie chcieliby mieć

swój portret w mundurze Gwardii Narodowej — w balonie», — szptają mi bracia Goncourt. Widziałem także księdza, chodzącego przed kościołem i czytającego brewiarz wszystkowiedzącym wokoło okiem. «Bonjour, bonjour» — odrzucił mi, rzucając skośnie spojrzenie.

Z wysokich sosen spadają na drzewa owocowe szare kulki wróbli. Najstarszy Jacques czyta książkę. Kult FAKTU, bezmyślnie WIEDZIEĆ chwytają go już w swoje macki. Irracjonalny racjonalizm czai się w młodym mózgu. Non — mon cher Jacques! — Prawdy leżą dalej, niż nam się to chce mówić. Wasz wspaniały wiek 18-ty i 19-ty popełniły jeden wielki błąd: hipotezy przyjęły za prawdę, udowodniły wszystko, nauczyły analizy nie dając syntezy. Zostawiły nas w półdrogi, wmawiając, że doszliśmy do celu. Non, mon petit Jacques — nie wszystko da się zmateralizować. Wiedza nie jest mądrością, nauka nie jest celem... W salonie książki, dużo książek. Nie ma ochoty wziąć ani jednej z nich do rąk. Wolę słuchać, jak wiatr szumi w czarnych sosnach, otaczających dom. Czasem w salonie siedzi C... i pisze listy. Chowam się za pianinem i słucham szelestu pióra po papierze. W zupełnej ciszy wokoło szmer ten ma coś zupełnie nieziemsko uspokajającego. Słuchać, jak ktoś pisze — to śmieszne...

—oOo—

Jakże dni są tutaj długie. Jeden dzień ma wartość tygodnia. Czas.. kładam mozaikę myśli. Pamiętasz «Wyznania» Św. Augustyna? Czas, to przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przeszłość nie istnieje już, przyszłość jeszcze nie nadeszła, a teraźniejszość, rozpadając się częściowo w przeszłości i w przyszłości, jest nieuchwytna. I trzy są teraźniejszości: rzeczy przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Zatopiony w tym wielkim spokoju, czuję wielką fikcję czasu. Wszystko jest w nas albo przeszłością, albo przyszłością. Teraźniejszość przeżywa się poprzez tamte dwa czasy. Chłonę i chłonię te chwile, kondensuję na przyszłość, by móc je przeżyć jeszcze raz, jeszcze pełniej. Czemu zdaje się nam, że życie jest tak krótkie, iż trzeba w nim zmieścić jak najwięcej? To skracza je jeszcze bardziej. Czyż nie dzieje się wokół mnie? Jeden dzień tutaj jest naprawdę kawałkiem życia. To, co dzieje się teraz, zamienia nas coraz bardziej na istoty myślące do połowy, operujące strzępami i ułamkami myśli. Przeciętą inteligencją człowieka współczesnego jest potwornym «puzzle», niemożliwym do złożenia w jedną całość. Fragmenty bywają dobre, ale brak im ośrodka, brak tego kawałka, od którego można zaczynać budowę całości. Gdy nie wiadomo, co z nich złożyć, odkąd zacząć składankę, człowiek ucieka od nich.

Myśl tych ludzi tutaj nie jest wspaniała, obraca się w granicach skromnych i materialnych. Drogą przejechał ciężki wóz na dwóch kołach, ciągniony przez trzy konie, idące gęsiego w zaprzęgu. Ktokolwiek go spotyka, pozdrawia, zamienia kilka słów z człapiącym obok w sabotaż fermerem. Wszyscy go znają i on i on zna wszystkich. Jego nazwisko nie jest czymś doczepionym, obojętnym, nie-

potrzebnym. Jego rozumowanie jutro, gdy prefekt rozłoży przed nim barwny wachlarz formułek propagandowych, będzie JEGO rozumowaniem, na które złoży się sposób myślenia jego przodków, osiadłych tu od lat. Myśl jego będzie dalszym ciągiem linii myśli poczętej już dawno. Będzie ona surowa, ale będzie się ona na czymś opierać. Tu pozostały jeszcze resztki dawnego człowieka, przystawiały do ziemi i bronią się przed zalewem anonimowości, lawy masy. A ty czym jesteś? Miażdżą cię określeniem «szary człowiek», «człowiek z ulicy». Zaszczepione? Nie, obelżone. Nie mając NIC, nie posiadając NIC prócz pracy na sprzedaż, szłowiek-anonim zatracił poczucie i wspomnienie swojej przeszłości. Własność... Dom, wóz. Zaczynam rozumieć tutaj jej znaczenie i wpływ na wewnętrzne ukształtowanie się człowieka. Człowiek mający coś swojego nie może stać się terminem, nie może stać się bezdusznym kółkiem w maszynie kolektywu.

Szary człowiek. Bez przeszłości, lęka się teraźniejszości i przyszłości. Lęk ten powiększa się, zapanowuje wszędzie. Za miraż bezpiecznej przyszłości, za kłamstwo znośnej teraźniejszości, daje z entuzjazmem swą wolność — rzecz bez wartości, gdy człowiek nie nie posiada. Za obietnicę wkłada chętnie swe ręce w kajdany. I myśli.

—oOo—

Szosa jest cicha. Zmoczony asfalt lśni. Jadę po lustrze. Patrząc wdół, widzę siebie, odbijam się wgłąb. Czasem zaterkota obok rower, czasem minie się kogoś, idącego brzegiem drogi. Spokój. Z drzew przydrożnych dolatuje kwilenie ptaków, to znów ciężka wrona zakraka nie wiadomo poco, lecąc niedbale. Wierzgliwym galopem przebiegł królik. Z za chmur wyszło słońce i rozrzuci rdzawe kolory, sącząc światło poprzez zwały mgły i wilgoci. Kołtunią się krzaki jeżyn zwieszając nad drogą ciężkie kiście czarnego owocu. Matowe i twarde płyty rozlewisk na łąkach.

Szare miasteczka. Place, ulice i uliczki. Krztusi się stary autobus, kwaknie kaczka, siorbając z zachwytem rosół gnojówki przed domem. Niewygnany czas dzwięczy w zegarze na wieży. Idą wolno godziny, stąpając nieprzerwanie ku tej ostatniej.

Czemu zadłużasz się w czasie? Dlaczego żyjesz zaliczkami dni i tygodni? Ciągłe przyspieszenie. Żadna chwila sama w sobie nie ma ceny, nie jest pełna, nie możesz utrzymać się przy niej; musi ona ustąpić miejsca jak najszybciej chwili, która następuje za nią. «Każdą chwilą jest tylko środkiem, sposobem osiągnięcia chwili następnej» — mówi do mnie cyrylicą strony Bierdjajewa. «Szybkość zawarta w mechanizacji i w maszynizmie jest morderczą dla «Ja», niszczyielską dla jego jedności, jego wewnętrznej koncentracji». Mechanizacja i maszynizm są krańcową formą uprzedmiotowienia istnienia ludzkiego, są wyrzuceniem go nazewnątrż w świat obcy i lodowaty. Ten świat jest dziełem człowieka, lecz człowiek gubi się w nim. Świat obcy i lodowaty... Przestrzeń staje się wrogiem zamiast być przyjacielem, z którym rozmowa wzbo-gaca, rozbudowuje. Paryż-Saigon w trzy dni, Londyn-Nowy York w kilkanaście godzin... Ludzie pechli.

Oczy błądzą po ścierniskach, po łąkach, po kępach drzew, gubią się w linii drogi

—oOo—

Na zachód od Pittsburga, a czasem i na wschód, zawsze ten sam skład drzewa, ta sama mleczarnia, ta sama

stacja kolejowa, ten sam garaż Forda, te same domy o kształtach pudełek, te same sklepy dwupiętrowa. Nowe budynki, bardziej pretensjonalne, świadczą o tym samym podobieństwie w poszukiwaniu różnorodności: te same bungalowy, te same domy sześciennicze ze stiuku, te same cegły, naśladowujące obicia. Sklepy wystawiają te same produkty narodowe standaryzowane, polecane zestandaryzowaną reklamą. Gazety, w odległości pięciu tysięcy kilometrów przedstawiają ten sam układ, zdecydowany przez jakiś trust. Chłopak z Arkansas obnarza to same gotowe ubranie, co chłopak z Delaware. Obydwaj mówią tym samym narzęciem przystosowanym do tych samych sportów. Jeżeli jeden z nich studiuje na uniwersytecie, a drugi jest fryzjerem, nikt nie może ich odróżnić. Są nieodmiennie jednakowi.

Wyciągnięty na leżaku, czytam «Main Street» Sinclair Lewis'a. Jakiś przeraźliwy i dogłębny strach, a potem odprężenie; miłe ucieszenie budzika, dzwoniącego na alarm. Bo gdy jutro pojedę do J... przeleczę przez szereg miasteczek i znajdę do domu innego, niż ten tutaj. Co godzinę będę gdzie indziej, pomimo że szare budynki z rzędem okiennic wydają się wszędzie jednakowe. Będę pił wino, które robią TYLKO tutaj, będę jadł masło, które ma inny smak, niż gdzie indziej. Różnorodność, gatunek, wybór... Poczucie soczystości szczęścia i wdzięczności, że tamta rzeczywistość jest tu jeszcze ciągle tylko książką, daleką opowieścią, ponurą bajką czytana przy kominku.

A jednak strach odżywa. Powoli i nieubłagane sunie realizacja mrowisk Le Corbusier'a, miast wstęgowych. Już całe kontynenty stały się jednakowe — śmieje się złośliwie rzeczywistość — i stają się ciałe. Dom będzie ten sam, co nad Wołgą, co nad Amazonką... Postęp, postęp, uniformizm, ilość, szybkość... Po ziemi pełza samotna mrówka. Jest zabłąkana, nerwowa, głupia, Nie wolno ci być indywidualną, wracaj na ścieżkę udeptaną przez inne i nie schodź na boki. Porządek, to postęp — postęp, to porządek. W «Utopji» Morusa, wolna zmiana miejsca zamieszkania nie jest rzeczą łatwą. W «Utopji» Cabet'a ukazuje się jedyny dziennik rządowy, i istnienie organów prasy wolnej jest kategorycznie zabronione. Ciesz się, ludzka mrówka. Nowy świat realizuje nreszcie utopję. Radosny, wielki dzień zbliża się...

—oOo—

Wieczór pochmurny, ciepły. Poowli zapada mrok, zamieniając wszystko w płaskie wycinanki. Jest taka cisza, że lecący chrząszcz warczy, jak silnik samolotu. Opadający liść tłucze się wśród konarów milczących drzew. Powietrze zamarło w bezruchu, nie drga nawet smukła trawa. Z kurników dolatuje urywany trzepot skrzydeł poprawiających się na grzędach kur. Gdy patrzeć na nie, usadowione rzędami w ciasnym kurniku, przypomina mi to przedział kolejowy. Z klatek królików dochodzą odgłosy milczących kłótni. Dysputy bez słów, podkreślane nagłym tupaniem. Kaczki nie poszły jeszcze spać. Z lubością przyklejają łapy do błota i z cichym szepcieniem, przechodzącym w kwilenie, odklejają je, by przylepić się w innym miejscu. Wieki Spokój. Cisza.

Minęły dni, tak długie, jak być powinny; dni pełne i całe, przepojone... Czym? Douce France.

Do Zosi

Czy Ty pamiętasz to Zosiu?
Miałaś ze trzy — cztery lata;
Pytałem często: Gosposiu,
A jak tam moja herbata?

A Ty z powagą dziecinną
Na krzesło stajesz Córeczką,
By rączką swoją niewinną
Zamieszać cukier tyżeczką.

Dziś Tobie, Mała Kobieto,
Warkocz już długi się splata.
A ja tak jestem daleko
I gorzka moja herbata.

Lecz pewnoś w sercu mym noszę
Ze wrócę wkrótce do chaty
I że, jak niegdyś, poproszę:
oZsieńko, daj mi herbaty.

CZESŁAW CZEMA.

Zazdrość

Masz nagą twarz
nie tkniętą palcami boga,
oczy — jak puste kamienie
rzucone przez kogoś,
by ciągle patrzyły
nie widząc ..

a w łożo ludzie
i lustra,
światła
obrazy
i taniec,
dojrzały pokłon zbóż
i trawa soczysta
zielona —

a myśli bez ciebie w tulaczce
nogi już zdartę
i straciły siłę
wciąż chodząc wkoło
twoich ślepych oczu...

ty nie znasz szczęścia
nie wiesz — co nieszczęście
ty nie znasz głodu
i nie znasz pragnienia,
bo ręce boga nie tknęły ci czoła
nie dały męki
radości
cierpienia —

i nie wiem...
możesz zapomniany
a — może bogom równy.

KRONIKI

DOKOŁA NAGRODY NOBLA

Znana w krajach hispano-amerykańskich poetka chilijska Gabriela Mistral, otrzymała najwyższe odznaczenie literackie świata, nagrodę Nobla za rok 1935. Podkreśla się, że dziwnym trafem po raz drugi w ciągu lat 40-tu nagroda odznacza to samo nazwisko (oczywiście bez żadnego pokrewieństwa). Mianowicie jednym z pierwszych laureatów Nobla był sławny poeta prowansalski, autor «Mizerio», Fryderyk Mistral. W b. roku kandydowali poza tym Szwajcar Ramuz, oraz autor cyklu «Ludzie dobrej woli», Jules Romains.

Gabriela Mistral jest pierwszą poetką, a czwartą z rzędu niewiastą — laurentką Nobla w literaturze. Poprzednio nagrodę tę otrzymały: Selma Lagerlof (Szwecja), Grazia Deledda (Włochy-Sardynia), oraz autorka znanych powieści o Chinach, Pearl S. Buck, (U. S. A.).

Przypomnijmy, że Polską w dziele literackim liczy dwóch laureatów Nobla: Sienkiewicza i Reymonta — a w dziele fizyki, kobietę — Marię Curie-Skłodowską.

KRONIKA POLSKA.

Od sierpnia 1944 r. na terenie Lublina, od lutego 1945» na terenie Krakowa, Łodzi, Poznania, Torunia oraz zniszczonej Warszawy rozkwitło bujnie polskie życie kulturalne. Liczne wydawnictwa literackie skąpo i z trudem tylko docierają do Paryża.

Z radością sygnalizujemy istnienie tygodników: «Odrodzenie», (redaktor K. Kuryluk) i «Kuznica»; miesięczników: «Twórczość» w Krakowie, «Życie Literackie» w Poznaniu i innych. W następnym numerze naszej «Kolumny Literackiej» omówimy szerzej czasopisma, zbiory poezji oraz życie teatralne, które w Krakowie np. rozporządza sześcioma scenami, grającymi równocześnie. Kolonia polska w Paryżu czeka zaś w lutym przybycia z Kraju Zofii Nałkowskiej, J. Iwaszkiewicza i J. Paraszewskiego na wieczory autorskie ich nowej twórczości.

W następnej Kolumnie Literackiej damy bogaty dział kronik francuskich.

Niniejszy zeszyt stanowi numer pierwszy «KOLUMNY LITERACKIEJ», która korzysta z uprzejmej gościny «RAZEM». «Kolumnę» wydaje, założony w październiku b. r. Klub Literatów Polskich we Francji, grupujący dawnych członków Z.Z.L.P. oraz talenty nowe. Mieszkających we Francji członków Związku Zaw. Literatów Polskich, a także tych piszących, którzyby pragnęli z «Kolumną Literacką» i Klubem współpracować, prosimy o zgłaszanie się pisemne do Zarządu Klubu, adres: POLSKA Y. M. C. A., 4, rue Leverrier — PARIS (VI).

Tu się kończy Kolumna Literacka

Ciekawostki

SKĄD SIĘ WZIĘŁY PIENIĄDZE ?

Pieniądze zajmują dużo naszych myśli. Skąd je wziąć, jak zarobić, jak mądrze je wydać i t. d. Trzymając jednak w rękę pieniądza, nie zastanawiamy się skąd on się znalazł, od kiedy istnieje i kto go pierwszy zastosował: nie od rzeczy więc będzie podać parę szczegółów, których znajomość nie zaszkodzi nawet najbardziej inteligentnym, a wielu się przyda. Przyda się też i do żywego dziennika w świetlicy.

W dawnych czasach narody prymitywne stosowały handel wymienny i nie znaly pieniądza. Dziś zresztą w czasie wojny widziało się też handel wymienny: masło za buty itd. mimo, że kultura i znajomość pieniądza poszła już bardzo naprzód. Ponieważ jednak w miarę narastania cywilizacji zwiększa się i ilość produktów, powstawały trudności przy wymianie, bo trzeba było wyceniać setki i tysiące produktów w stosunku do jednego — i tak w stosunku do każdego przedmiotu, czy gatunku, komplikowało więc tę sprawę. Zaczęto więc wymieniać produkty za pewne ilości miedzi, potem złota i srebra.

W pierwszym połowie XIX w. wykopano w Indiach miedziane laseczki z przed 3.000 lat przed Chrystusem. Były one podłużne i pokryte znakami, a ważyły 96 gramów. Znaczki wskazywały na firmę, bankiera lub władcę, które te pierwsze pieniądze wypuścił. W Egipcie wykopano miedziane cegiełki, zwane przez Egipcjan «uteny». N. p. wół kosztował 119 utenów, podczas gdy zarobek miesięczny robotnika wynosił 5 utenów (tylko że robotnicy byli żywieni przez pracodawcę). Później kursowały «peki» (blaszki w złocie wagi 0,76 gr. i «cyk'e» w srebrze wagi 8,18 gr.).

Fenicjanie, którzy handlowali głównie za pomocą wymiany wynaleźli alfabet (by utrzymywać swe transakcje w sekrecie przed innymi narodami). Handlowali na okrętach — przywozili coś — i wracali z czymś innym. Assyryjczycy i Babilończycy handlujący za pomocą karawan wynaleźli list wymienny, a pierwsze pieniądze w dzisiejszym tego słowa pojęciu wynaleźli dopiero Grecy, mianowicie w 650 r. przed Chrystusem książd Fidon zaczął bić monetę z własnym wizerunkiem. Materiałem była miedź. Krezus pierwszy zaczął bić monetę złotą t. zn. «eseides». Rzym przejął ten sposób i pierwsza pracownia powstała w Rzymie nie daleko świątyni Juno Moneta — stąd nazwa monety, mennicy itd. Aż do Karola Wielkiego bito tylko złote monety, on pierwszy zaczął używać monet srebrnych, bo z najazdami barbarzyńców na Rzym zaginał cały zapas złota i o złoto od tych czasów było trudno. Taki ustrój monetarny trwał w Europie do XVIII w., kiedy to z rozwojem przemysłu i handlu w związku z nowymi odkryciami okazano się, że pieniędzy jest za mało. Wymyślono więc banki emisyjne w Holandii i Anglii w XVII w., a później we Francji. Bilety papierowe stały w stosunku 3 fr. papierowych do 1 fr. złotego, przy czym srebro też było metalem uznanym urzędowo. Wprowadzenie banknotów papierowych pozwoliło na uprzemysłowienie Zachodu, na pobudowanie kolei itd. Jest to okres 1.800 — 1875 r., gdy we Francji powstają wielkie przedsiębiorstwa, kopalnie i banki. Ustrój

bimetaliczny utrzymał się do 1875 r. t. zn. do tego okresu uznawano zarówno i złoto i srebro za środek płatniczy. Gdy jednak w tym czasie odkryto duże ilości srebra, ceny i proporcje zaczęły się wahać i skakać, przyjęto tylko pokrycie w złocie.

Okres do wojny 1914 r. to okres największej stabilizacji pieniądza i prawdziwej koniunktury. Pieniądz papierowy miał pokrycie w złocie. W czasie zeszłej wojny wprowadzono pieniądze, które nie miały już pokrycia w złocie, lub tylko w małym procencie. I tak jest już do dzisiejszego dnia. Stąd dewaluacje i inne krachy finansowe, bo państwo drukuje masę pieniędzy, które wewnątrz kraju jeszcze mogą kursować, ale na rynku zagranicznym, będąc bez pokrycia nie mają żadnej, lub prawie żadnej wartości. Jedynie w Stanach Zjednoczonych utrzymano parytet złota; można tam iść do banku i wymienić dolara na złoto.

Z rozwojem pieniądza i rozwojem jego fabrykacji rozwijało się oczywiście też i fałszerstwo pieniędzy. Nie jest to wcale wymysł naszych nowych czasów. Na świecie wszystko jest stare.

ZANIM PRZYJDZIE LEKARZ

Apopleksja: Rozluźnić ubranie. Na podniesioną głową kompresy z zimnej wody zmieszanej z octem; lewatywy przeczyszczające. Pijawki za uszami lub przy odbytnicy.

Atak nerwowy: — Rozluźnić ubiór. Wodę na twarz i chłostanie zwilżoną bielizną (ręcznikiem).

Epilepsja: — Rozluźnić ubiór. Zapewnić wolną przestrzeń dokoła chorego. Podłożyć pod niego koce, kołdry i t. d.

Kontuzje: — zwichnięcia, wykręcenia. Okłady b. częste z wody możliwie jak najcieplejszej, przytrzymywanie opaską płócienną, lekko ściśniętą i często zmieniane.

Krwotoki: — Jeżeli tętnica krwawi — ścisnąć ją chusteczką powyżej rany, bliżej serca.

Oparzenia: Obmywanie chłodną wodą lub wodą borowaną. Roztwór nasycony kwasu pikrynowego. Okryć rany gazą antyseptyczną i watą.

Rany: — Nie dotykać palcami. Przemywać bardzo czystymi gałgankami wygotowanymi w wodzie. Odnawiać kompresy antyseptyczne aż do przybycia lekarza.

Topielcy: — Położyć płasko. Sztuczne oddychanie. Ciepła bielizna. Nacieranie.

Udar słoneczny: — Umieścić w cieniu rozluźnić ubranie, zimna woda na głowę.

Ukłucia owadów: — Wyciągnąć żądło. Wata zamoczona w roztworze 50 gr. wody i 2,5 gr. chlorhydrate de cocaine.

Wisiełcy: — Zimna woda na twarz. Sztuczne oddychanie. Nacieranie. Okłady na nogi.

Zaczadzenie: — Rozebrać i położyć chorego na twar dy materac. Utrzymywać jego szczęki rozchylone. Nacierania. Sztuczne oddychanie. Woda na twarz. Świeże powietrze.

Zatrucie alkoholem: — 10 do 15 kropli amoniaku w szklance wody, lub mocnej czarnej kawy.

PIŁKA NOŻNA 300 LAT PRZED CHRYSUSEM

Anglicy są dumni z tego, że z ich wyspy wyruszyła piłka nożna na podbój całego świata sportowego. Niestudnie przypisują sobie jednak tę zasługę.

Pewien angielski uczoney, U. Gilles dowiódł na pod-

stawie dokumentów, że wynalazcami futbolu są Chińczycy, którzy ten sport uprawiali już w III wieku przed Chrystusem.

Sam cesarz Cseng-Ti był zapalonym miłośnikiem tej zabawy i zorganizował dwie drużyny, które się każdego miesiąca przed nim popisywały. Zawodnicy starali się wszelkimi siłami grać dobrze, gdyż cesarz kazał bez litości ćwiczyć różgami pokonanych.

WOKÓŁ BOMBY ATOMOWEJ I ATOMU

Tyle się wszędzie o tym mówi, pisze i myśli. Dla «mądrałów» i polityków wszystko wiedzących, wszystko przeczuwających i wszystko rozumiejących — tych parę wesółych cyfr — żeby im się lepiej myślało i kalkulowało:

Atom posiada średnicę równą $1/10.000.000$ mm. Jądro atomowe ma średnicę tysiąca razy mniejszą od średnicy swego atomu. Jeśli atom wyobrazimy sobie jako kulę, o średnicy jednego kilometra, to wtedy jądro — przy zachowaniu proporcji — będzie miało średnicę — w zależności od ciężaru danego atomu — od 1,4 cm. (wodór) do 8,5 cm. (uran). Jądra atomów składają się z dwu elementarnych cząstek materii: protonów i neutronów. Masa ich wynosi około 1 gramów dzielone przez kwadrylion

$(1/0.000.000.000.000.000.000.000.000.000)$

ale gęstość zawartej w nich materii jest tak olbrzymia, że gdybyśmy substancją tych cząsteczek wypełnili kostkę o wielkości centymetra sześciennego, to kostka ta ważyłaby około stu milionów ton.

Spróbujmy się posunąć w tych obliczeniach dalej. Jeden centymetr sześcienny waży 100 milionów ton. Pudełko zapatek wypełnione protonami czy neutronami ważyłoby około 4 miliardów 500 milionów ton $(4.500.000.000.000 \text{ kg.})$.

Wesole cyfry. Sześcian o boku 3 mtr. 90 cm. miałby wagę kuli ziemskiej. Oczywiście na naszej planecie nie dałoby się tylu jąder atomowych **uzbiarać**.

W jądrze atomu zawarta jest prawie cała olbrzymia jego energia. Masa i energia są sobie równoważne i jedna może zamieniać się w drugą. Według wzoru Einsteina każda masa jest równoważna energii, która jest równa masie tej pomnożonej przez kwadrat szybkości światła. Jeden gram masy jest więc równoważny energii wybuchowej 14 tys. ton nitrogliceryny.

Nie cała energia atomu może być wyzyskana przy jego rozpadzie, gdyż cząstka jądra egzystuje po rozpadzie nadal a wyzwala się energia wiązania tych cząstek w jądrze — równa około $1/1000$ całkowitej energii potencjalnej.

Jeden gram eksplodującego uranu daje 29 miliardów kalorii. Samo zjawisko eksplozji atomów uranu nie wystarczyłoby jeszcze do praktycznego wykorzystania energii atomowej, gdyż ilość trafionych przez neutrony atomów (które wywołują zjawisko ich rozbicia) jest bardzo mała. Dopiero inne zjawisko, zaobserwowane w toku badań nad eksplozją atomów uranu, otworzyło drogę do realizacji bomby atomowej. Okazało się mianowicie, że podczas eksplozji jądra uranu wylatują z niego nowe neutrony, powodujące dalsze wybuchy. To zjawisko nazwano łańcuchową reakcją jądrową. Jest jednak pewna trudność: neutrony nie posiadają ładunku elektrycznego przechodzą obok jądra nie zbaczając ze swej drogi, co powoduje ich łatwość

przenikania pomiędzy atomami danej substancji. Wskutek tego większa część wyzwalających się podczas eksplozji atomów uranu neutronów rozprasa się i łańcuch reakcji zakańcza się nie doprowadzając całej masy do ostatecznej eksplozji. Jednakże przy odpowiedniej dużej masie uranu — neutrony będą w dostatecznej ilości zużyte wewnątrz tej masy. Nastąpi to już w kuli tlenku uranu o średnicy około trzech metrów. Eksplozja jej byłaby katastrofą kosmiczną.

Przy bombie jednokilogramowej (takiej jakie spadły na Japonię) energia wyzwolonych cząsteczek (gdyby zastosować do nich prawa gazu) odpowiadałaby temperaturze 10 miliardów stopni.

Tak wygląda **gwałtowne** rozbicie atomów. Dodatek kadmu umożliwia **regulowanie** reakcji jądrowej i jej kompletne **opanowanie**. Wystarczy odpowiednia ilość kadmu, dodanego do uranu, aby spowodować dowolną szybkość jego rozpadu i w ten sposób uzyskać spokojne wyzwolenie się energii atomowej w żądanej ilości na jednostkę czasu.

Tu zaczynają się możliwości pokojowego wykorzystania energii atomowej, która niedługo już może będzie mogła zastąpić nam węgiel czy naftę i wciągnąć system słoneczny i wszechświat do obszaru życiowego ludzkości.

Energia opałowa jednego kilograma uranu równa się 4.500 ton węgla. Pięć gramów uranu wystarczy, żeby planetostat o wadze 10 ton wyleciał w przestworza kosmiczne.

CO TRZEBA WIEDZIEĆ O HERBACIE

Herbata należy do naszych codziennych napojów. niewidzianych jednak od dawna i jest z utęsknieniem często wspominana. Lubimy ją. Nad jej wartością spożywczą mało kiedy się zastanawiamy, częściej nad tym, co zrobić, by była smaczna i ładnego koloru. Pogawędzimy o tym.

Herbata nie ma żadnych spożywczych wartości. Głównymi jej składnikami są teina, kwas teinowy i olejki aromatyczne. Podniecenie, spostrzegane przez nas przy używaniu herbaty, wywołuje teina. Kwas teinowy szkodliwie działa na trawienie i może nawet wywołać zaburzenia w przewodzie pokarmowym. Przy sporządzaniu herbaty zważać trzeba przede wszystkim na to, by zawierała możliwie najwięcej teiny, a najmniej kwasu teinowego. Ponieważ po naparzeniu herbaty wrzącą wodą teina szybko się wydziela, znacznie trudniej rozpłaszcza się kwas teinowy, dlatego chcąc mieć jak najmniej kwasu teinowego w herbiecie, zlewamy esencję do wygrzanego, szczelnie zamkniętego czajnika. Przez gotowanie herbaty albo długie trzymanie liścia herbacianego w esencji, herbata traci na smaku, kwas teinowy, znajdujący się w niej, ścina pepsynę w soku żołądkowym i hamuje trawienie.

Nadmierne używanie herbaty jest zawsze szkodliwe. Prócz wspomnianych zaburzeń żołądkowych, niszczy zdrowie nerwów, wywołuje niepokój serca i bezsenność. Są ludzie, którzy po napiciu się wieczorem nawet nie bardzo mocni herbaty, nie mogą zasnąć, albo w nocy się budzą. Herbata oddziałuje podobnie szkodliwie jak kawa, z tą tylko różnicą, że kawa wpływa bardziej na system nerwów centralnych, a herbata na obwodowy. Dlatego też większość osób prędzej odczuwa szkodliwość kawy.

BARAK 23

(Są to fragmenty wspomnień, pisanych w 1944 roku w baraku szwajcarskiego obozu dla internowanych).

Te same prycze z niedbale złożonymi kocami, taki sam niewielki piecyk pośrodku sali jadalnej, otoczony spragnionymi ciepła. Orzeł biały, pod nim w czarnej żałobnej ramce portret gen. Sikorskiego. Fotografie różnych mężów stanu, pośród nich oczywiście uśmiechnięty Roosevelt i Churchill z nieodłącznym cygarem. Gwoli przypomnienia, że coś takiego istnieje jeszcze na świecie, są podobizny poci pięknej, wycięte z ilustrowanych tygodników. Mapy geograficzne z wetkniętymi w nie szpilkami, określającymi sytuację na bliskich i dalekich frontach. Pod sufitem sznury, na nich rozwieszona bielelina. Słowem to samo, co w każdym z baraków internowania, rozsiąanych po kantonach Szwajcarii. Inni są tylko mieszkańcy, pośród których Polacy stanowią wyraźną mniejszość. Są między nimi przedstawiciele wszystkich 5 części świata.

Jakże potężny musiał być kataklizm, który zgromadził całą tę gromadę w zacisznym ustroniu Wauwillermoosu!

Za oknami płacze fohn. Roboty dziś nie ma. Towarzystwo rozsiadło się przy stołach i skracając czas lekturą, pogawędką i oczywiście kartami. Amerykanin gra z Polakiem, Egipcjaninem i z Francuzem w brydża, przy tym samym stole rozprawiają o czymś z ożywieniem Anglicy, Francuzi i Włosi. Turcy zapamiętali różnicę z Polakami. Warto doprawdy powiedzieć coś nie o ludziach, z którymi zetknął nas kaprys losu i zmienne koleje wojny.

MUSTAFA.

Kręte musiały być ścieżki, które zaprowadziły Mustafę z dalekiej Anatolii, aż do Wauwillermoosu. Wiodły one przez Legię Cudzoziemską gen. de Gaulle, pustynię Libijską, broniący się rozpaczliwie Bir Hakeim i niewolę włoską. Dlaczego na nie wstąpił, dlaczego zamiast rozkoszowania się ciepłem domu i kraju ojczystego, siedzi skulony i drżący przy mizernym piecyku barakowym? Zasadniczym paragrafem Wauwillermooskiego dobrego tonu jest unikanie niepotrzebnych zapytań.

Jak przystało na prawdziwego Turka, pali wyłącznie «turkische». Cechuje go prawo iście wschodnia namiętność do gry. Grałby cały dzień, obojętnie zupełnie w jaką grę, — woli jednak hazard. Wprowadził w zdumienie cały barak, przyłączając się do pożyłdowego oka, ostatecznie jednak zadziwił wszystkich najczystsza polszczyzną «Stuka». Jak się okazało, wpływy polskie sięgnęły poza morze śródziemne: Mustafa był pojętym uczniem żołnierzy polskich podczas swego pobytu razem z nimi w Egipcie. Wzdycha co prawda nieco, wspominając o cenie, którą musiał zapłacić za tę naukę, odbija jednak powoli we frankach szwajcarskich to, co stracił w funtach angielskich.

Jest mistrzem w handlu i kombinacji. Przewożony statkiem włoskim z Benghazy na kontynent, dostał się w tajemniczy sposób do magazynu i wyniósł z niego worek pełen konserw, czekolady i papierosów. Wkrótce

po tym statek został trafiony angielską torpedą. Mustafa nie rozstał się ze swym skarbem podczas ogólnej paniki i brutalnego przepychania się do łodzi ratunkowych, a wciągnięty na pokład włoskiego torpedowca — rozpoczął natychmiast detaliczną sprzedaż swoich towarów łakomym na wszystko Włochom.

Kolejka przed magazynem mundurowym obozu jest nie do pomyślenia bez obecności Mustafy. Skąd bierze do zamiany na nowe tule dziurawych skarpetek, podartych koszul i ka'esonów? Doprowadzony do rozpacz magazynier groził mu już słynnymi pieskami i rewolwem na 8 dorosłych osób. Zapomina chyba o tym, że nieustraszony Mustafa był pod Bir Hakeim. Odesłany z kwitkiem dzisiaj, powraca niezrażony z dobroduszną miną nazajutrz.

Technikę pisania listów opanował w czasie zdumiewająco krótkim. Nie oznacza to bynajmniej, aby władał innymi językami prócz tureckiego i arabskiego, nie licząc znajomości kilku słów francuskich z gatunku koszarowych. Opowiada za tym o co mu chodzi po arabsku swemu koledze z Legii, Egipcjaninowi, ten zaś przekłada wszystko na nienaganną francuszczyznę. Następuje tłumaczenie na język niemiecki i piękny list, rozpoczynający się podziękowaniem za paczkę, zawierający następnie kilka szczegółów z bohaterkiej epopei Mustafy, pełen smutku za utratą ojczyzny i podziwu dla piękna tutejszych okolic, a kończący się z reguły wzmianką o pogodzie — odchodzi do miejsca przeznaczenia.

Dobry z niego kolega, zawsze wesoły, gotów do świadczenia drobnych przysług. Uśmiech jego oświetla cały nasz nudny, jakże uprzykrzony barak. Przepis Koranu, dotyczący nieużywania alkoholu, zgubił widocznie gdzieś po drodze, gdyż lubi zajrzeć do kielicha. Nie lubi za to obierać kartofli, rąbać drzewo i myć podłogi. — Któż jednak z nas to lubi?

JEAN PIERRE

Z lekka spłaszczony nos, wystające kości policzkowe, ciemno brązowa skóra i błyszczące czarne oczy — oto pobieżny rysopis Mr. Jean Pierre'a, żołnierza armii gen. de Gaulle, przybysza z Nowej Kaledonii. Urodzony z ojca Francuza i matki Polinezyjki, jest żywym wcieleniem bohatera egzotycznych filmów. Nikt prawie z obozu nie zna jego nazwiska. Nie woła się na niego inaczej jak Mr. Cacao, — przydomek ten otrzymał z racji ko'oru skóry. Nie żywi o to żadnej urazy, wołany uśmiecha się szeroko, odsłaniając dziwną piękność zębów.

Cicha, zagubiona wśród bezmiarów Pacyfiku Nowa Kaledonia boleśnie przeżywała tragiczne dni czerwcowe 1940 r. Zdawało się, że po upadku Paryża i prośbie o rozejm nie ma już ratunku dla Francji. I oto na falach radia londyńskiego doleciał do Kaledonczyków trzeźwy głos gen. de Gaulle. Ktoś daleki lecz swój, obcy, lecz bliższy od brata, pocieszał i nawoływał do nieulegania zwątpieniu i rozpacz. Poprzez tysiące kilometrów dochodziły słowa, mówiące że nie wszystko jest stracone, słowa wołające o pomoc. Znalazły one natychmiast odzwiek w sercach patriotycznych wyspiarzy. Wahający się gubernator został usunięty ze swego stanowiska, a

już po miesiącu zaczęły płynąć do Australii statki, biorące ochotników do armii Wolnej Francji. Pierwszym transportem odpłynął siedemnastoletni wówczas Jean Pierre.

Dalej następują długie miesiące walk w pustyni libijskiej w warunkach trudnych do uzmysłowienia. Nieznośny upał, ciągły brak wody do picia, piasek docierający wszędzie, marsze po niezmierzonych przestrzeniach. Aż wreszcie dochodzi do krwawych starć na przełęczy Halfaya, otoczonej przez «Afrika Korps» Rommela. Młody Kaledonczyk zostaje ciężko ranny po wystrzeleniu ostatniej taśmy z ckm. Po tym przychodzi smutny okres niewoli włoskiej, ucieczka i internowanie w Szwajcarii. Kiedy się ono skończy? Pytanie to zadaje sobie nie tylko Jean Pierre. W każdym razie jest on pewnym, że zbliża się dla niego chwila ujrzenia wozwolonej ziemi francuskiej, której ofiarował swe serce, krew i piękne lata młodości.

SIGNOR GIUSEPPE

Na progu baraku stanęły dwie mizerne postacie, ubrane w niebieskie, mocno sfatygowane robocze ubrania i ogromne żołnierskie buciska. Jeden z przybyszów, młodzieniec lat dwudziestu, miał na głowie kapelusz z piórkiem, obaj zaś zamiast bagażu ręce w kieszeniach. Zwrócili oczywiście na siebie ogólną uwagę. Nawet belocjarze przestali na chwilę bębnić pięściami po stołach.

Szef baraku, który rozgrywał właśnie skontrowanego szlemika, złożył niechętnie karty, wstał od stołu i zbliżył się do nowoprzybyłych. Skąd przyjechaliście? — zapytał urzędowym głosem.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, jedynie dwie pary czarnych oczu spojrzały na niego z podejrzem.

— Głupi jesteście, czy wariatów strugacie?

— Italiani — wyszeptał cicho młodzieniec z piórkiem.

Italiani! Słowo to wzbudziło ogólną sensację. Tych tylko tu jeszcze brakowało. Nikt prawie nie mógł powstrzymać swego zdziwienia i jedynie Mr. Charles z załogi latającej fortecy pozostał niewzruszony. Nic dziwnego. Człowiek, który bombardował Rzym, Ploesti i Wienerneustadt obojętnie mimowoli na wiele rzeczy.

Raptem po przez ciżbę przesunął się kanonier Jean Boutte.

— Zbombardowali wam Mediolan, pieskie syny, to przychodźcie nas tutaj obżerać. Alewuzan! — Ryczał groźnie, potrząsając kułakiem przed nosem nierozumiejących ani słowa Włochów. Obecni na sałoprzypatrywali się tej scenie kamiennymi oczami z ironicznym uśmieszkiem.

Zadrżało nagle piórko na kapeluszu, zadrżały wargi i łzy polaly się z oczu młodzieńca. Drgnęły też serca Polaków.

— Dałbyś chłopakowi spokój, głupi Bucie — odezwał się Zbyszek. — Co on biedny zawinił? Różnieś teraz bohatera, a pod St. Hippolite trza cię było kopniakami wydobywać z krzaków. Prawdziwy Polak nie pałstwi się nad zwyciężonym. Jurku, zajmij się gośmi.

Istotnie, nikt inny nie mógł by się lepiej wywiązać z tego zadania. Jurek bowiem przebywał dwa lata w Ticino, pisał do kogoś długie listy po włosku i otrzymuje stamtąd paczki wielkości słonia w średnim wieku. Odprowadził zatem młodych mieszkańców na wyznaczone dla nich miejsce i przeprowadził z nimi jakąś długą roz-

prawdę, w wyniku której powrócili uspokojeni i weseli. Zjedli z apetytem obiad, poczym zasiedli do ogólnego remi, stając się tym samym automatycznie równoprawnionymi członkami internowanej gromadki.

Tymczasem Jurek opowiedział historię młodego Giuseppe. Pochodził z Turynu. Po ukończeniu 18 lat został zmobilizowany i po 3 miesięcznym zaledwie przeszkoleniu odesłany na front Libijski. Ranny w pierwszej potyczce, został odesłany z powrotem do Włoch. Po długiej kuracji otrzymał urlop; lecz po przyjeździe do Turynu nie zobaczył już swego domu. Zamiast niego ujrzał zgłiszczą i rumowiska po bombardowaniu. Nikt nie mógł poinformować go, co się stało z jego matką, prócz której nie miał nikogo na świecie. Zrozpaczony i zniechęcony schronił się do Szwajcarii.

Cichy i uczynny stał się wkrótce benjaminkiem baraku. Nie uśmiecha się jednak nigdy. Najwięcej lubi go czarny Mahammed Ben Ahmed, najsympatyczniejszy żarłok Północnej Afryki, któremu nakłada podczas swego dużuru ogromne porcje kartofli. Jedynie Jean Boutte rzuca na niego pełne niechęci spojrzenia i mruczy coś pod nosem, nikt jednak nie zwraca na to uwagi. Wiadomo ogólnie, że temu człowiekowi nie się na tym świecie nie podoba, prócz oczywiście samego siebie.

SERGEANT CHARLES.

Opisywać powierzchowność Mr. Charlesa jest zbędnym. Każdy zapewne widział go na tytułowej stronie «Schweitzer Illustr. Ztg.» z 14 sierpnia 1943, kroczącego w asyście warty w godzinę po przymusowym ładowaniu uszkodzonego pociskami Liberatora.

Ma lat 27. Pochodzi ze Stanu Missouri. Do lotnictwa Stanów Zjednoczonych zaciągnął się na początku 1941. W załodze bombowca pełnił funkcję drugiego radiooperatora i strzelca karabinu maszynowego.

Do Anglii przybył jako jeden z pierwszych, oczywiście drogą powietrzną. Po działaniach z baz lotniczych w Anglii, został przeniesiony na Średni Wschód. Brał stamtąd udział w ofensywie na Sycylię i Włochy, uczestniczył również w nalotach na kontynent europejski. Ma za sobą naloty na Rzym, Ploesti i Wienerneustadt, o których wspomina ze słuszną dumą. Bierze żywy udział w życiu obozowym: najchętniej przesiada się z Polakami. Potrafi nawet z dokładnością do 1000 kilometrów wskazać na mapie Europy miejsce, gdzie była i będzie Polska. Jest miły i koleżeński, a ponieważ żołądek jego wynosi astronomiczną sumę, zaprasza co wieczór na kawę i ciastka do kantyny. Przywiózł ze sobą piękny album, pełen fotografii i różnych ciekawostek z ubiegłych burzliwych lat. Pokazuje go nader chętnie, wartość szczególną ma dla niego fotografia pewnego Gasthofu szwajcarskiego — bezpośredniego powodu przymusowego ładowania Mr. Charlesa w Wauwilermoosie.

CORPORAL JAMES FROM BELFAST.

Najpiękniejszym miastem na świecie jest Belfast. W mieście tym są najładniejsze i najwyższe domy, w których mieszkają najurodziwsi mężczyźni i kobiety. Most, który łączy tamże coś z czymś jest największym na świecie. Z miasta tego pochodzi 80% najwaleczniejszych ze wszystkich VIII armii, urodziło się poza tym 95% najbardziej zasłużonych obywateli Wielkiej Brytanii.

Powyższe wiadomości pochodzą od samego Mr. Jamesa, a ponieważ, jak oświadczył, mieszkańcy Belfastu

słyną ze swej prawdomówności, niema za tym żadnego powodu do powątpiewań.

Kariera wojskowa Jamesa jest tak naszpikowana bo-
jowymi wyczynami i przygodami, że wystarczyłaby na
cały batalion Jamesów. Nie ma w tej wojnie kampanii
lub bitwy, w którejby nie brał udziału. Do zdobywanych
miast wchodził zawsze jako pierwszy, opuszczane pozostawiał ostatni. Jemu to właśnie wręczył po kapitulacji
swą szablę książę d'Aosta, jemu też dziękował ze łzami
w oczach za oswobodzenie Abisynii Negus Haile Sel-
lasie. Opowieści wojenne Mr. Jamesa grzeszą niekiedy
niedokładnością dat, oraz błędami geograficznymi, nie
trzeba się jednak temu dziwić, wzięwszy pod uwagę, jak
wiele przeżył i widział. Znajduje też zawsze chętnych
słuchaczy, zgromadzonych po kolacji przy piecyku. Je-
żeli ktoś z nich nie rozumie języka angielskiego, poma-
ga sobie włoskim, ponieważ całe towarzystwo przebywa-
ło w niewoli włoskiej.

— Listen, boys — powiada James — opowiem wam te-
raz, jak o mało co nie wziąłem do niewoli Rommela.

Ciekawe, prawda? Istotnie, z opowiadania wynika,
że słynny marszałek jedynie cudem umknął w pancernym
samochodzie, ścigany pociskami 25-funtówki bo-
haterskiego Jamesa.

W Szwajcarii przebywał dopiero 4 tygodnie, a z nich
3 w Wauwilermoosie, zdążył sobie jednak wyrobić cał-
kowicie zdanie o tym kraju, przy czym zdanie całkowicie
ujemne. Nie jest z niczego zadowolony, nie podobają mu
się warunki mieszkaniowe, regulamin obozowy, otocze-
nie i t. d. Do stołu zasiada pierwszy, wstaje od niego
ostatni, — zupełnie jak przy zdobywaniu i opuszczaniu
miast. Apetyt ma doskonały, uskarża się jednak na je-
dnostajność potraw.

W tym wszystkim jest zresztą bliźniaczo podobny do
wielu internowanych w Szwajcarii wojaków jednej ze
sprzymierzonych z Anglią armii...

MOHAMMED BEN AHMED.

Po każdym obiedzie następuje zazwyczaj 10-minutowa
ożywiona pogawędka na temat przykrości, związanych
z internowaniem, po czym mieszkańcy rozechodzą się do
swych różnorodnych zajęć. Zajęcia te na ogół przypo-
minają szumnie opisywane w «Gońcu» prace, w ro-
dzaju karczowania lasów, lub zbierania buraków paste-
wnych. Polegają one przeważnie na dłubaniu w nosie,
pisanu natchnionych listów, spaniu i oczywiście grze
w karty. Osobna grupa zajmuje miejsca dokoła dymią-
cego jak krąkownik piecyka i odchodzi od niego tylko
do jedzenia i spania. Coraz to nowe kawałki drzewa lecą
do ognia, piecyk dymi, barak upadabnia się do izby
arabskiej, zawsze pełnej dymu. Złudzenie to potęguje
widok brązowej twarzy przybyszów z północnej Afryki.
Przywódcą tej grupy jest czarny, jak myśli internowa-
nego, murzyn, Mohammed Ben Ahmed z Marakeszu.

Nie bacząc na młody wiek (ma lat 24), jest już sta-
rym i doświadczonym żołnierzem. Bił się we Francji,
Erytrei i Libii. Po wojnie zamierza przede wszystkim
odwiedzić dom rodzinny, po tym zaś udać się w dłuższą
podróż krajoznawczą; otrzymał już od kolegów kilka-
naście zaproszeń, między innymi do Londynu, Paryża,
Warszawy, Nowego Targu i Zawichostu.

Ciekawe, o czym też myśli, gdy spogląda w okno bara-
ku. Widok jest bowiem mocno nieciekawy; daleko we
mgłę masyw Berner-Oberlandu, bliżej — jakieś pagór-

ki i błoto obrosnięte mchem, zupełnie blisko — podwój-
ny rząd drutów kolczastych, rażących początkowo, a po-
tem obojętnych, czy przypomina sobie jakże odmienne
widoki swej odległej ojczyzny? Czy też rozmyśla nad
nieudaną partią pokera, którego jest gorącym zwol-
nikiem? Nie warto go się pytać, gdyż nie odpowie ni-
czym innym, jak swoim wiecznym: «Monsieur, j'ai beau-
coup froid».

Powiedzenie to stosuje się do wszelkich okoliczności,
służy mu ono jako obrona, argument lub usprawiedli-
wienie. Został zwolniony od robót w polu bo mu zimno,
z tego też powodu nie bierze udziału w pracach kuchen-
nych; ucieka ze zbiórki przedłużającej się ponad 5 mi-
nut. Ponieważ jest mu zimno, otrzymał 3 koce i nie-
prawdopodobną ilość pulawerów, ciepłych koszulek i
skarpetek. Znana z poskramiania repeciarzy załoga ku-
chenna mięknie na jego widok. Nie było wypadku, aby
odszedł z pustą menażką; surowy szef kuchni tłumaczy,
że organizm zziębniętego Mohammeda potrzebuje wię-
cej witamin i kaloryj. Nadobna kantyniarka częstuje go
gorącą kawą z ciastkami. Komendant obozu (!) wzywa
go często do siebie, wypytuje o stan zdrowia i wręcza
regularnie paczkę papierosów.

Czy nie zna ktoś taniego środka na obrócenie się w
murzyną?

SASZKO ZAPIEWAJŁO

Dużo jest jeszcze ciekawych typów w baraku Nr. 23.
Wszyscy mają za sobą trudy wojenne, dławiący gardło
strach przed śmiercią, gorycz niewoli lub klęski, i krótkie,
pełne niepohamowanej wesołości dnie urlopów żoł-
nierskich. Temperament, powstrzymywany dyscypliną
i drutem kolczastym, wydobywa się na wierzch w go-
nitwach po baraku, tańcu, a przede wszystkim w śpie-
wie. Anglicy śpiewają swoje Tipperary i skoczne fox-
troty. Francuzi przy akompaniamencie nieodłącznej har-
monijki nucą sentymentalne tanga, Arabowie gardło-
wym głosem powtarzają godzinami jakąś jednostajną
melodię. Największym jednak powodzeniem cieszy się
rosyjski chór Saszki Zapiewały, wykonywujący od ra-
na do wieczora, a po przepustce do wioski — do późnej
nocy, pieśni żołnierskie i ludowe. Gdy nastrój dochodzi
do zenitu, podłoga baraku zaczyna żałośnie postękiwać
od straszliwych uderzeń «kozaczka». Gwoździe ścisłości
trzeba jednak zaznaczyć, że Mr. Jean Pierre zaćmiewa
w tym tańcu rodowitych Rosjan.

Nie mało sądzonym było przeżyć Saszce w ostatnich
latach. Pułk jego stacjonował gdzieś na granicy Mon-
goli. Przerzucony na front ukraiński, dostał się w sta-
lwe kleszcze niemieckiej dywizji pancernej, pędzącej
na zdobycie Rostowa. Po wielogodzinnym boju pozostało
złożyć broń. Rozpoczęła się smutna wędrówka po obo-
zach jeńców, aż wreszcie — doprowadzony do ostatecz-
ności Saszka zmierzył się z lodowatą wodą Renu i sta-
nął w kostiumie Adama na brzegu szwajcarskim.

— Jak ci się podoba w Europie, Saszka? — pytam
przyjaźnie.

Niezdeterminowane nadyma wargi i patrzy przez chwilę
na swego starszego kolegę.

— Niczewo — pada odpowiedź, która istotnie niczego
nie wyraża. Lepiej nie mówić z nim na ten temat. O
Polakach wyraża się z uznaniem. Powiada, że są grzecz-
ni i umieją wypić. Prawdopodobnie trochę inaczej mu
o nich opowiadano.

Życie polskiego

KOŁO STUDENTÓW POLSKICH W PARYŻU

Licznie studjujący na wyższych uczelniach paryskich Polacy zorganizowali się w Koło Studentów Polskich w Paryżu. Poza akcją ściśle samopomocową Koło projektuje szersze rozwinięcie działalności kulturalno-oświatowej (sekcja literacka, chór, imprezy, zabawy).

Sekretarz: M. Wierzbicki, 4, rue Leverrier, Paris VI.

KOŁO KOOPERATYSTÓW POLSKICH WE FRANCJI

Spółdzielcy polscy we Francji wydali z okazji Dnia Spółdzielczości specjalny biuletyn Koła — który ma być organem Koła i informatorem o życiu spółdzielczym wogóle. Znajdujemy tam zaproszenie do współpracy, skierowane do wszystkich pracowników spółdzielczych i sympatyków ruchu spółdzielczego.

Adres: 4, rue Leverrier, Paris VI.

Miedzy nami

Działalność Polskiej Y.M.C.A. w terenie przejawia się przede wszystkim w Ogniskach i Świetlicach, które organizacja ta zakłada i prowadzi samodzielnie w różnych skupiskach emigracji polskiej na terenie Francji (szpitale, sanatoria, obozy wojskowe, obozy dla deportowanych etc.). Jest to forma pracy Polskiej Y.M.C.A., w realizację której włożono ogromny wysiłek.

Prowadzenie Ognisk i Świetlic wymaga bowiem dobranej kadry personelu jak też i dużego aparatu pomocniczego w formie sprzętu, aparatów radiowych, dekoracji, biblioteczek, pomocy kulturalno-oświatowej i odpowiedzialnych za tę pracę — napawać muszą zrozumiałą troską.

Oto w kilku miejscowościach zdarzyły się ostatnio wypadki, że pewne niepowołane jednostki i to zapewne przez niezajomość istoty pracy Y.M.C.A. — wkraczają w kompetencje gospodarzy świetlic; dokonując samodzielnie bądź zmian w urządzeniu świetlic, bądź też naruszając sprzęt, który stanowi własność instytucji społecznej, względnie usiłując używać świetlicy do innych celów, niż jest przeznaczona. Wprowadza to szkodliwe zamieszanie i dezorganizację w pracy gospodarzy świetlic, którzy są jedynie i wyłącznie odpowiedzialni przed władzami Y.M.C.A. za całość i majątek świetlicy, stanowiącej ogniwo organizacyjne instytucji wychowawczo-społecznej, jaką jest Y.M.C.A.

Polska Y.M.C.A. — jak to wiadomo powszechnie — wczuwa się w potrzeby i nastroje rzeszy uczestników i zawsze znajduje rozwiązanie, które, odpowiadając zasadom wychowawczo-obywatelskim i moralnym, jakie leżą u podstaw pracy tej organizacji i u podstaw życia zbiorowego polskiego, — czynią jednocześnie zadość pragnieniom swoich uczestników. Od nich wzamian oczekuje Y. M. C. A. tylko dobrej woli, porozumienia i kulturalnego działania.

Na szczęście należy zauważyć, że są to wypadki odosobnione, co pozwala żywić nadzieję, że w tym ciężkim etapie na drodze do jedności narodowej — Polska Y. M. C. A. będzie nadal rozwijać swą działalność z myślą o Polsce, o żołnierzu polskim i

robotniku, o każdym uchodźcy czy emigrancie polskim, zapatrzoną w swą ideę przewodnią

Przez charakter, wiedzę i zdrowie

— Służba dla Polski. —

BIBLIOTEKI

Z końcem sierpnia i początkiem września Polska Y.M.C.A. we Francji rozesała do swych najważniejszych ognisk wśród deportowanych, chorych i wojska — 17 kompletów książek polskich (22 tomów w każdym) jako stałe biblioteki świetlicowe. M. in. są to książki: Mickiewicza, Sienkiewicza, Kossak-Szczuckiej, Żeromskiego i Fredry, a ponadto parę powieści sensacyjno-kryminalnych.

Oprócz tego działają biblioteki okrzęne.

KORESPONDENCJE

Ze względu na przedawnioną aktualność korespondencji z sierpnia, września i października — sprawozdania i reportaże z klubu YMCA w Paryżu, z Ognisk w Cichy, Sedan, Lille, Aix-les-Bains, z bursy w Nimes i t. d. nie zostaną już umieszczone.

Wszystkie Ogniska i Ośrodki pracy imkarskiej wzywamy do częstego i szybkiego informowania o przejawach pracy, imprezach, osiągnięciach i t. p. Nie chodzi tu o propagandę ale o uczciwe podanie i utrwalenie naszej pracy na terenie Francji.

KOMUNIKAT

Polska YMCA we Francji nie udziela stypendiów naukowych w roku szkolnym 1945-46.

Kącik dla pracowników oświatowych

Numer niniejszy poza uwzględnieniem materiałów do obchodów świątecznych — to głównie materiał do żywych dzienników i pogadanek. Idzie zima z długimi wieczorami, więc nie od rzeczy będzie pomyśleć o przygotowaniu sobie «z grubsza» materiałów do kilku żywych dzienników, które potem uzupełni się i uaktualni.

Żywy dziennik nie powinien przekraczać 35-40 minut, zawierać powinien krótkie omówienia sytuacji polskiej i międzynarodowej (5 minut), dłuższy artykuł (8 — 10 minut) z historii, geografii, itp., chwilę poezji, jakiś reportaż, parę kawałów, konkurs (n. p. na zagadkę, opowiedzenie kawału, lub własnych przeżyć — (do 10 minut).

Organizować żywy dziennik powinno się co tydzień w stale wyznaczone dni i o wyznaczonej godzinie. Pracownik oświatowy powinien dążyć do zorganizowania zespołu redakcyjnego i wyznacza referentów (zależnie od ich zamiłowań i kwalifikacji n. p. dział gospodarzy, literacki, humor itp. W ten sposób unika się produkowanie się tej samej osoby, co ożywia słuchających. Zależnie od poziomu i warunków środowiska można wprowadzić kącik muzyczny (fortepian, akordeon, śpiew solowy, czy zbiorowy), więcej poezji itd. Można też wprowadzić konferansjera, który czuwałby na decydującą i dowcipnie i umiejętnie zapowiadałby idące po sobie artykuły. Należy dążyć, by życie wewnętrzne danego środowiska odzwierciedlało się w żywym dziełku, przez podawanie komunikatów, zarządzeń, wyników konkursów itp.

Pamiętajmy — że żywy dziennik to najłatwiejsza i najwzajemniejsza forma pracy świetlicowej, bo każdy w nim coś znajdzie ciekawego dla siebie.

Materiałem do wszelkiego rodzaju imprez literackich będzie Kolumna Literacka Klubu «Sowizdrzałów», który gościć będzie stale na naszych łamach.

Udanych Świąt!

**PROGRAM ODCZYTÓW
DZIAŁU NAUKOWEGO POLSKIEJ YMCA we FRANCJI
NA MIESIĄC LISTOPAD 1945 OBEJMOWAŁ
NASTĘPUJĄCE POZYCJE:**

Poniedziałek, dn. 19 listopada 1945 — Prof. Dr. Zygmunt L. ZALESKI : «Francja i Polska».

Wtorek, dnia 20 listopada 1945 r. — Dr. Marek St. KOROWICZ : «Górny Śląsk».

Środa, dnia 21 listopada 1945 r.: — Dr. Michał SZCZANIECKI : «Powstanie państwa i społeczeństwa polskiego».

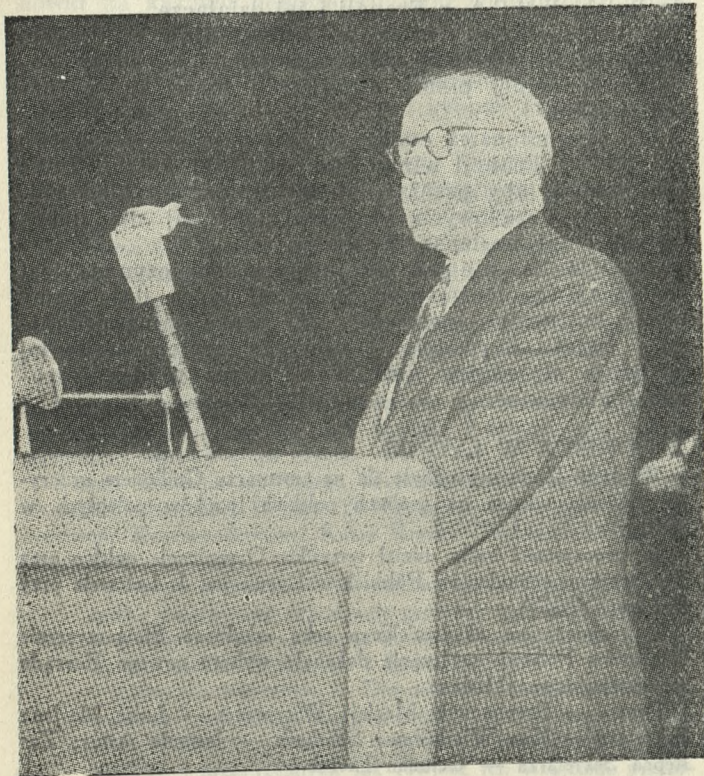
Czwartek, dnia 22 listopada 1945 r. — Prof. Bolesław PRZEGALIŃSKI : «Obecna sytuacja ruchu spółdzielczego w Polsce».

Poniedziałek, dn. 26. 11. 1945 r. — Prof. Dr. L. ZALESKI : «Francja i Polska» cz. II.

Wtorek dnia 27 11. 1945 r.: — Dr. M. St. KOROWICZ : «Górny Śląsk» cz. II.

Środa dnia 28. 11. 1945 r.: — Dr. M. SZCZANIECKI (Powstanie państwa i społeczeństwa polskiego), cz. II.

Odczyty odbywają się o godz. 17,45 w lokalu Klubu Polskiej YMCA 4, rue Leverrier, Paris (6), metro: Vavin lub Notre Dame des Champs. Wznowiona akcja odczytowa zapowiada się bardzo ciekawie



Tracy STRONG, Sekretarz Generalny Światowego Komitetu Imki.

W listopadzie obradował w Paryżu Komitet YMCA Światowej do spraw Europejskich pod przewodnictwem Tracy Stronga i przy udziale najwybitniejszych przedstawicieli Y.M.C.A. z Ameryki, Szwajcarii, Francji, Niemiec, Belgii i Szwecji.

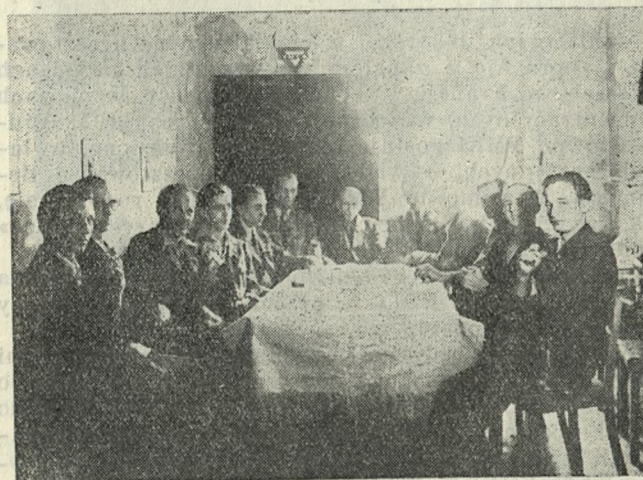
Z ramienia Polskiej Y.M.C.A. brał udział Prezes Pol-

skiej Y.M.C.A. we Francji.

Komitet dokonał przeglądu sytuacji i ustalił szczegóły planu prac na rok 1946, we wszystkich krajach Europy ze szczególnym uwzględnieniem spraw deportowanych i b. jeńców w Niemczech, Francji, Szwajcarii i t. p.



P. Mott, Prezes Komitetu Światowego z wizytą w Polsce. W głębi Tadeusz Dybowski, ówczesny Prezes Polskiej YMCA, zmarły w grudniu 1939 r. w drodze z Budapesztu do Paryża. (Pochowany tymczasowo w Jugosławii)



Oto zebranie Polskiej Y.M.C.A. w Schrambergu

Niedawno odwiedził nasze Biuro Główne Imki — imkarz z Polski, a obecny działacz Imkowy w strefie okupacji Francuskiej Niemiec, u. Chmieliński. Polska Imka przywitała miłego gościa jaknajserdeczniej i w miarę swych możliwości starała się pomóc w jego działalności w Schrambergu.

PRZEMÓWIENIE PANA PREZESA WOYDATA
DN. 27. 10. 45, GODZ. 19,15.

Nie przeczuwał napewno skromny subjekt z magazynu blawatnego, szlachetny Georges Williams, zakładając w roku 1844 r. w Londynie pierwsze koła młodzieży dla odciążenia jej od deprawacji ulicy i zgubnych nałogów, że jego myśl natchniona, zostanie w ciągu lat stu zrealizowana w olbrzymie, o światowej sławie dzieło. Z małego koła 4-ch idealistów wyrosła organizacja o 1.500.000 członków, posiadająca we wszystkich częściach świata tysiące gmachów, w których co wieczór miliony młodzieży męskiej męskiej wszystkich narodowości, wszystkich ras i wyznań — znajdują w nich to, do czego ich młode dusze tęsknią i, czego pragną i do czego lgną.

Kluby artystyczne, kluby zamiłowań specjalnych, biblioteki, kursy, wieczory artystyczne, sporty, gry i zabawy są na ich usługi — w wielkich salach, w pięknych salonach, na basenach i bieżniach.

To jest Y.M.C.A. — Young Men's Christian Association — Związek Młodzieży Chrześcijańskiej.

W czasie wojny Y.M.C.A. idzie za młodymi ludźmi wszędzie, gdzie ich los okrutny niesie: do wojska, do obozów jenieckich, do obozów koncentracyjnych, do szpitali i więzień. Niesie im pociechę i rozrywkę, wiarę i nadzieję.

Od 1918 roku — Y.M.C.A. czyni to samo w Polsce przez lat 20. Od roku 1939 idzie ślad w ślad za tragedią i trudem wojennym młodego Polaka. Usiłuje trwać w kraju, ale wędruje i zagranicę: do Rumunii, do Francji i do Anglii, za żołnierzem polskim do Palestyny, do Afryki, do Włoch i do Niemiec. Wszędzie wyrasta z niczego, z ochoty i zapału jej członków i sympatyków.

We Francji Polska Y.M.C.A. pracuje od stycznia 1940 roku, a od sierpnia tegoż roku rozpoczyna się jej przeszło 4-letni okres jakby z epoki bohatersko-romantycznej.

Młoda ekipa imkarska, w ciągłej obawie aresztowania — pracuje z zapałem we wszystkich ośrodkach polskich we Francji, w kompaniach pracy, w obozach koncentracyjnych, w schroniskach. W roku 1942 Biuro Główne YMKI zostaje otoczone i uwięzione, w latach następnych — wiele dalszych aresztowań i deportacji. A mimo to Y.M.C.A. trwa, ba! rozwija się, jak żywy symbol oporu intelektualnego «resistance» na umysły i serca.

Przychodzi rok 1944 — oswobodzenie Francji, klęska Niemiec i Polska Y.M.C.A. przechodzi znów do pracy jawnej i swobodnej.

W tej chwili, gdy na wyzwolonej, gościnnej ziemi francuskiej pierwszy raz przemawiam przez radio o Polskiej YMCE, myśl moja biegnie przez fale eteru do tych z gromady Imkowej we Francji, co śmiercią zapłacili swój zapał i trud, do tych licznych, co wytrwali, do YMKI w Polsce, do naszej tam rodziny Imkowej, z popiołów dźwigającej w zapale dorobek lat dwudziestu, do YMKI w Anglii, do YMKI w Palestynie, we Włoszech i w południowej Afryce i do wszystkich Imkarzy, którzy przeszli obozy niemieckie, a dziś pracują dla Polaków w Niemczech, a przede wszystkim do naszego kochanego dyrektora Pawła Supera, naszego duchowego przywódcy, naszego starego, serdecznego przyjaciela, wspaniałego Amerykanina i patriotę pol-

skiego, który natchnął nas do pracy Imkowej i który nas tej pracy uczył.

Obecnie Polska Y.M.C.A. rozwija we Francji ożywioną działalność. Przede wszystkim tworzy i urządza świetlice w obozach dla deportowanych i w oddziałach wojskowych, zaopatruje je w dekoracje, instrumenty muzyczne, książki, zeszyty, gry i zabawy, sprzęt sportowy, jak piłki, siatki, rękawice bokserskie it. Świetlice tych posiada 30 rozrzuconych po całej Francji.

W zakresie oświatowym Polska Y.M.C.A. rozsyła wiele książek szkolnych do obozów i nauczycielom. Poważnym dziełem są kursy korespondencyjne dla dorosłych, dla kształcenia zawodowego. Są to 4-romiesięczne kursy handlowe, budowlane, elektrotechniczne, kreślarskie i ogólnokształcące. Polska Y.M.C.A. zachęca do Francji.

Ponadto Y.M.C.A. wydaje wiele materiałów kulturalno-oświatowych dla kierowników świetlic i działaczy. Prowadzi bursę w Nimes dla 40 chłopców, kształcących się w szkole rzemieślniczej, jednej z najlepszych we Francji — organizuje objazdowe trupy artystyczne. Wreszcie setki odczytów i prelekcji zostało wygłoszonych staraniem Polskiej YMKI.

W obecnej skali Polska Y.M.C.A. we Francji nie będzie pracować długo. Wraz z masą repatriantów wróci do Polski Y.M.C.A. z Francji i jej działacze.

Tutaj zostanie: Bursza w Nimes, Klub w Paryżu, świetlice w wielkich ośrodkach polskich, kursy korespondencyjne, pismo «Razem» i może kursy instruktorskie.

Już dziś młodzież emigracyjna i całe społeczeństwo polskie we Francji winno otoczyć bliżej Polską Ymkę swą troską, aby przejąć jej działalność od kierowników dotychczasowych i prowadzić dalej dla dobra Polski i jej najlepszych synów.

Bo Y.M.C.A. nie jest organizacją dobroczynną; jest instytucją społeczno-wychowawczą, która daje ramy pracy kulturalno-społecznej, gdy pracę samą organizują światli obywatele. I wówczas dopiero najlepiej realizuje się służba dla Polski: przez wiedzę, zdrowie i charakter.

◆
Z OGNISKA W LYONIE

W dzień Zaduszny odbyło się na cmentarzu Guillotiere uroczyste złożenie wieńca na grobach polskich lotników poległych w 1940 r.

W uroczystości brały udział wszystkie Organizacje polskie oraz Stowarzyszenie Studentów Polskich w Lyonie im. J. Lelewela przy Polskiej YMCA.

Z rozpoczęciem akademickiego roku szkolnego Stowarzyszenie Studentów Polskich w Lyonie dokonało wyboru nowego Zarządu w następującym składzie:

Prezes — Szepietowski Maciej; Wiceprezes — Jutisz Marian; Sekretarz — Kuc Władysław; Skarbnik — Jarmuła Artur; Zastępca Sekretarza — Ochman Leszek.

Z okazji rozpoczęcia roku szkolnego Stowarzyszenie Studentów Polskich w Lyonie urządziło wieczór taneczny na który zaproszono publiczność francuską z A. G. E., oraz Amitie Franco-Polonaise.

W programie artystycznym wystąpił znany tenor Marian Porębski. Do tańca przygrywała orkiestra studencka, prowadzona przez Długosza Jana.

Ognisko w Lyonie utworzyło sekcję sportową siatkówki i koszykówki, której kapitanem jest Zdzisław Koneczny, znany siatkarz Imki krakowskiej.

S. P.

Ś. P. GUSTAW ZIELIŃSKI

W listopadzie b. r. zmarł w Paryżu śp. Gustaw Zieliński.

Wiele wydarzeń myśli i uczuć łączyło Polską Imkę z osobą Zmarłego. Oddawna w Polsce był On przyjacielem Imki, której nieraz służył pomocą i radą, a w roku 1939 (od września do grudnia) jest jednym z najbliższych współpracowników Pawła Supera w jego akcji pomocy na terenie Rumunii; we Francji zaś od roku 1942 jest członkiem Komitetu Doradczego Polskiej Imki. Jako tajny delegat Ministerstwa Opieki Społecznej otaczał działalność Imki zawsze troskliwą opieką i czyni wielkie wysiłki, aby przyjąć jej z pomocą finansową w jej pracy kulturalno-społecznej wśród biednej emigracji polskiej.

Aresztowany przez Gestapo na posterunku swej pracy w Lyonie w roku 1944 zostaje wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie w straszliwych warunkach przebywa aż do uwolnienia go przez Amerykanów. Tragiczne losy naszego kraju, ciężkie warunki emigracji, miesiące więzienia i obozu koncentracyjnego zniszczyły zdrowie śp. G. Zielińskiego który w kilka miesięcy po odzyskaniu wolności zmarł, niedoczekawszy się powrotu do kraju, z myślą o którym pracował na każdym posterunku swej wieloletniej pracy zawodowej i społecznej.

Ze smutkiem chylimy czoła nad trumną, kryjącą szczątki naszego Przyjaciela. Rodzinie śp. Gustawa Zielińskiego, Jego żonie, córce i synowi składamy wyrazy głębokiego współczucia.

ANKIETA POLSKIEJ YMCA W SPRAWIE KORESPONDENCYJNYCH KURSÓW KREŚLEŃ TECHNICZNYCH

Wiadomo jest każdemu, kto zetknął się ze sprawami i zagadnieniami technicznymi, jak ważnym jest drugi język technika — rysunek. Jest on koniecznym uzupełnieniem i wykładnikiem wszelkich wiadomości technicznych oraz tym międzynarodowym językiem, którym posługują się inżynierowie i technicy całego świata.

Aby jasno wyrażać się w sprawach technicznych, dawać lub wykonywać dyspozycje, należy opanować gruntownie i dokładnie rysunek techniczny, poznać jego elementy i zasady, oraz nabrać pewności i wprawy w ich użyciu.

Z tego założenia wychodząc Kierownictwo Korespondencyjnych Kursów Technicznych Polskiej YMCA ma zamiar w roku 1945/46 uruchomić Korespondencyjne Kursy Kreśleń Technicznych według następującego programu:

Geometria ogólna. — W rozdziale tym podamy główne zasady i podstawowe twierdzenia geometrii na płaszczyźnie i w przestrzeni. Celem poznania ich zastosowań będziemy rozwiązywali zadania kreślarskie i konstrukcyjne.

Geometria wykreślna. — Dla dalszego rozwoju techniki rysunkowej podamy podstawowe zagadnienia dotyczące rzutów prostokątnych oraz sposoby wykreślnego przedstawiania figur płaskich i przestrzennych jak również ich wzajemne przenikanie i rozwinięcia. Jako zakończenie najważniejsze wiadomości z teorii perspektywy.

Technika kreślenia. — Instrumenty kreślarskie, ich opis i użycie. Zastosowanie geometrii wykreślnej i aksonometrii w rysunku technicznym. Rzuty i przekroje. Szkicowanie. Wykonanie rysunku technicznego.

Czas trwania kursu przewidujemy na cztery miesiące. Rozpoczęcie kursu dnia 1-go stycznia 1946 r. Po ukończeniu kursu i złożeniu egzaminu końcowego uczestnicy otrzymają świadectwa.

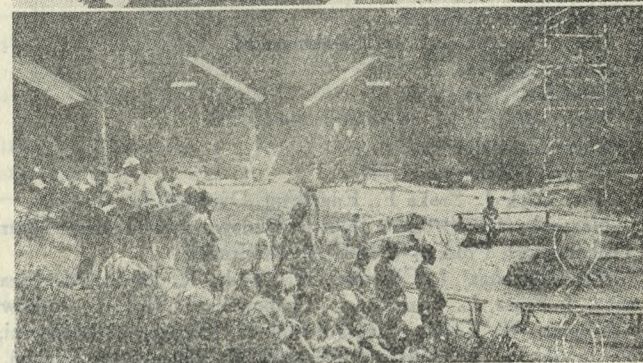
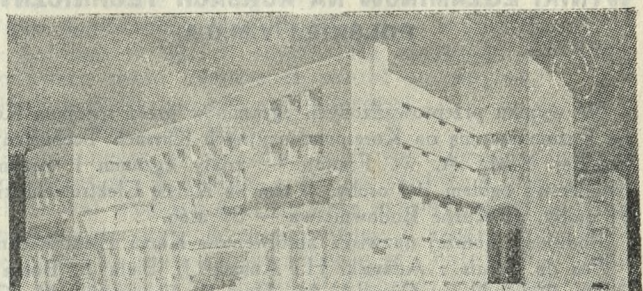
Kurs powyższy dostępny jest dla każdego Polaka, posiadającego ukończoną szkołę powszechną lub jeden z Kursów Korespondencyjnych Polskiej YMCA.

Zarząd Polskiej Y.M.C.A. zwraca się z prośbą do wszystkich Polaków zainteresowanych w uruchomieniu nowego kursu o nadesłanie na zwykłej karcie pocztowej odpowiedzi na następujące pytania:

- 1) Czy celowym jest zorganizowanie Koresp. Kursu Kreśleń Technicznych;
- 2) Czy wysyłający zamierza zapisać się na Kurs Kreśleń Technicznych;
- 3) Czy wysyłający ma zastrzeżenia lub uwagi dotyczące programu Kursu (jeżeli tak, to prosimy o podanie ich);
- 4) Czy termin rozpoczęcia Kursu wybrany jest odpowiednio?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać do dnia 15 stycznia 1946 r. na adres:

Polska Y.M.C.A. Kierownictwo Korespondencyjnych Kursów Technicznych — 4, rue Leverrier, Paris 6.



Oto kilka zdjęć imkarskich z Polski:
Ognisko Warszawa. — Wigilia Imkarzy.
... Obóz w Mszanie Dolnej.

IMKARSKIE ECHA

Andrzej Krasicki, Sekretarz Generalny Polskiej Y.M.C.A. znajduje się obecnie w Ameryce, dokąd przybył po kilkutygodniowym pobycie w Anglii. Podróż jego ma na celu zdobycie funduszy, oraz materiałów i sprzętu, któreby sprostwały wielkiemu zadaniu Y.M.C.A. w Polsce, nie tylko w dziele odbudowy, ale w dziele wszechstronnej pomocy dla wyniszczonej perfidnie przez okupantów młodzieży polskiej.

Z ramienia Polskiej YMCA we Francji został wydelegowany do prac na terenie p. Czyżkowski, Inspektor Ognisk, Sekunduje mu w pracy p. Jakubowski z naszego Biura Głównego. Ekipa ta w najbliższym czasie ulegnie powiększeniu. Zadaniem jej jest zakładanie świetlic w obozach, układania programów, instruowanie kierowników i dostarczanie materiałów. Już obecnie Prezes Y.M.C.A. otrzymuje b. pochlebne uwagi o naszych weteranach Imkarskich.

WYNIKI EGZAMINÓW NA KURSACH TECHNICZNYCH POLSKIEJ Y.M.C.A.

I.

W wyniku przeprowadzonych egzaminów przez specjalną Komisję Egzaminacyjną na Korespondencyjnych Kursach Technicznych, Polskiej Y.M.C.A. we Francji — zdały egzamin i otrzymały świadectwa ogółem 103 osoby, w tym na Kursie Elektrotechniki — 64 osoby, na Kursie Budownictwa — 39 osób.

Podajemy poniżej nazwiska absolwentów Kursu Elektrotechniki:

Pas de Calais : Adamski H., Antecki J., Biela J., Bonia F., Cichy, Cicharski E., Ciesielski M., Droś F., Figasiewicz M., Guła H., Heyduk J., Hendrys E., Jaśkowiak A., Karpik H., Kita S., Kubala L., Lemański B., Luźniński K., Lubiński Z., Macioszczak E., Napierała L., Palucha F., Pabich M., Posilek B., Przeniczka F., Przeniczka J., Sawarzyński H., Socha A., Sroka S., Stach A., Szadkowski Z., Wach E., Wojciechowski L.

Nord : Capik S., Janowicz Z., Jędrzejak J., Kaczmarek K., Kwiatkowski E., Misiorowski B., Perzyński L., S'achecki S.

Htes Pyr. : Błoński A.

Seine et O'se : Cieśliński E., Górski M., Malończak B.

Polish Forces : Cichowski Julian.

Seine et Loire : Czerwiec M.

Gers : Dałomis J.

Puy de Dome : Klimek M., Więcek J., Wilk F.

Cantal : Krzych F.

Lot : Maksymowicz S.

Iser : Praczkowski S., Szlakinger H.

Seine : Sońnicki Z.

Moselle : Wiatrak S.

Tarn : Wójcik M.

Cher : Zawadzki S.

Gironde : Zahorowski H.

Ain : Glyk J., Sroka F., Engelking, Duczmal J.

Nazwiska absolwentów Kursu Budownictwa Koresp. Kursów Technicznych Polskiej Y.M.C.A. we Francji:

Pas de Calais : J. Ciegarski, K. Chudy, K. Darul, M. Figasiewicz, J. Frasz, L. Gomółka, J. Grabowski, J. Jasik, F. Juskowiak, . Kobylski, W. Królski J. Krzyżaniak H. Kupczyk, S Majewski, P. Masłowski, Z. Michalski, . Regulski, P. Schenk, H. Suchoń, C. Trembacz, W. Adam, J. Wojtasik.

Nord : C. Przyswła F. Sołtysik, S. Stachecki, Z. Stempczyński, F. Surdyk, F. Walczak.

Loire : S. Suder, J. Andrzejewski.

Aisne : M. Stachulec.

Ardenens : J. Skiba.

Marne : R. Kałnowski.

Gard : C. Lech.

Paryż : W. Mizera, A. Nowak.

Saone et Loire : R. Oberbek.

Indre : L. Parysek.

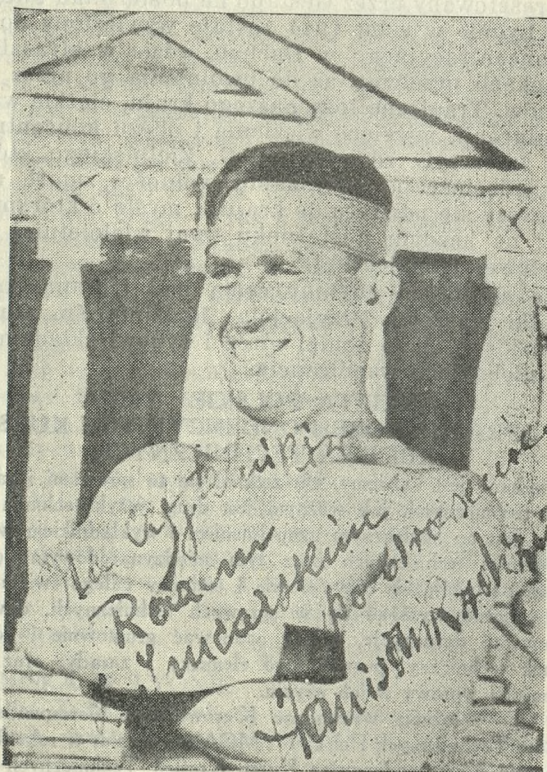
Reims : A. Winczewski.

—0—

Wkrótce rozpocznie Y.M.C.A. rok szkolny 1945/46 który obejmować będzie również Kurs Kresleń Technicznych.

O szczegółowe informacje zgłaszać się do Centrali Kursów 4, rue Leverrier — Paris VI.

Wszystkim Absolwentom Polska YMCA składa życzenia jak najpomysłniejszego zużytkowania nabytej wiedzy dla dobra własnego i odbudowującego się Kraju.



W Redakcji mieliśmy niedawno miłą wizytę, p. Stanisława Radwana, imkarza z Gdyni — znanego siłacza i króla żelaza. W obronie Helu dostał się do niewoli, obecnie służy w naszej Marynarce Wojennej i często organizuje popisy w Niemczech, Anglii i Francji. Za naszym pośrednictwem pozdrawia Czytelników.

OD REDAKCJI

Niniejszy numer «Razem» ukazuje się po czteromiesięcznej przerwie, wywołanej trudnościami formalnymi i papieru.

Polska Y.M.C.A. uczyni wszystko, aby w najbliższych miesiącach nadrobić utracony czas i nie zawieść zdobytego zaufania i pokładanych nadziei.

Wszystkie ogniska i ośrodki pracy imkarskiej we Francji i w Niemczech prosimy o nadsyłanie korespondencji, fotografii i reportaży.

• HUMOR •

WIECZÓR AUTORSKI

Przyzwyczaiłem się, co pewien czas wydawać tom swoich felietonów.

I teraz noszę się z takim zamiarem. Peszy mnie tylko bardzo stanowisko niektórych młodych krytyków literackich odsądzających od wszelkiej wartości humor t. zw. niefrasobliwy, pozbawiony tendencji społecznych.

Długo zastanawiałem się co zrobić, żeby książka miała jednak konkretną wartość dla społeczeństwa. Po licznych naradach z przyjaciółmi doszedłem do wniosku, że należy ją wydać na bibułę. Wydawca, któremu zwierzyłem się z tym projektem, podchwycił go entuzjastycznie i od razu wysunął hasło pod jakim książka znajduje się w sprzedaży: «Solali, sama się pali».

Niezwłocznie obiczyliśmy z matematyczną dokładnością, że z każdego felietonu będzie można skrócić 28 przywołanych papierosów.

Niestety, już po dwóch dniach okazało się, że bibułka wypadnie za drogo, wobec czego będziemy musieli porzucić na papierze. Zdaniem wydawcy, wartości książki to jednak nie zmniejszy, a nawet wprost przeciwnie.

Jak wiadomo najpopularniejszym gatunkiem tytoniu jest obecnie «Wilanów», który jakkolwiek preparowany z najlepszego rubarbaru, włókna ma twarde, przebijające najsolidniejszą nawet bibułę. Stosując dobry samotłacz papier, nie będziemy narażeni na reklamacje, jednak zawsze bardzo przykre. Przekonał mnie. Rozpocząłem prace przygotowawcze.

Kiedy wybrałem felietony do części drugiej, traktowanej jako wspomnienie o Warszawie przedwojennej, natrafiłem na kilka utworów, które przywiodły mi żywo na myśl ostatni mój wieczór autorski w Warszawie. Było to nie tak dawno, a jednak tak dawno.

Wieczór odbywał się w podziemiach mieszczańskich znaną wiiarnię «Pod krzywą latarnią» na Podwalu. Sala była przepełniona. W półmroku na podłodze jeden przy drugim leżeli ciężko ranni. Obok w cocktail-barze odbywały się amputacje bez narkozy.

Jeden z chłopców miał moją książkę. Tytuł, zdaje się «W ząbek chesany». Prosił żeby im poczytać. Przyszedłem tu wprawdzie po lekarstwo dla swej chorej córki, ale cóż... Przy ogarku świecy zaczęliśmy sobie czytać. Na górze nad nami z łoskotem waliły się domy, ryczały «krowy», pękały granaty. W ząbek chesany Hitler wściekle atakował Starówkę, a my czytaliśmy sobie o «Zezowatym baranku» o «Parasolu w śmietanie» o «Dwóch pałaszach na pierzynie, co ich Krzyżaki, czyli szkopy w komzach królowi Jagielle przynieśli».

Ranni się uśmiechali.

Niefrasobliwy humorek na coś się przydał.

WIECH.

W CICHĄ NOC...

Pan Ignacy Rumianek abdytenteu broń Boże nie jest. O co to, to nie. Jako stuprocentowy mężczyzna lubi wstąpić sobie z kolegami «na jednego» i we wszy-

stkie soboty wraca regularnie o 12-ej wieczorem do domu lekko zawiany.

Tak też było w owym historycznym dniu.

Śpiewając arie Jontka z opery Halka doszedł przy świetle księżycy do swojej kamienicy. Kluczem usiłował trafić w dziurkę od kucza, ale ta dziurka od klucza tańczyła mu przed oczyma.

— Stój, cholero! — powiedział — Giez cię ugryzł?...

Nareszcie trafił i otworzył bramę. Śpiewając ciągle arie Jontka, zaczął wspinać się po schodach. Upadł kilka razy i narobił takiego hałasu, że obudził pół domu.

Sąsiad p. Rumianka, pan Łapiduch Bolesław, w koszuli nocnej wyszedł na klatkę schodową dobrze porzytywany.

— Panie Rumianek! — mordę pan zamknij na kłódki, porządnym obywatelom daj pan spać, kiedy pan w pijanem stanie wracasz do domu, bo inaczej pysk panu ktoś rozbije, pjure z pana zrobi i co panu po tym? — powiedział grzecznie.

Pan Rumianek:

Żalu nie mam do nikogo

tylko do ciebie niebogooo!

Pana Łapiducha szlag trafił.

— Lebiego w odcisk szydełkiem szarpana! Znakiem tego kpisz sobie brachu ze mnie? — spytał.

Szumia jodły na gór szczycieeeee!

Szumia sobie w daaa!...

Nie dokończył bo otrzymał w głowę cios tak potężny, że potoczył się o siedem schodów w dół. A pan Łapiduch zaczął wydierać si na całe schody, rodzinę pana Rumianka po kątach rozstawiając i szczególnej krytyce poddając dobre prowadzenie się całej płci żeńskiej, począwszy od 7-miomiesięcznej córeczki pana Rumianka, a skończywszy na 65-letniej jego teściowej. Na jego nieszczęście właśnie ta ostatnia w nocnym negliżu z trzepaczką w dłoni ukazała się w drzwiach.

— Cofnij to coś powiedział, draniu jeden! Płeć słabą atakujący! Moczymordo proszkamy na rozwolnienie karmiony w młodości! —

I jak nie zacznie operować trzepaczką! Na nic się nie zdała heroiczna obrona pana Łapiducha, który niesławnie zrejterował, zatrzaskując drzwi.

A pan Rumianek, leżąc niedaleko kubła na śmiecie, przestał już śpiewać, a zato zaczął chrapać, zasnął bowiem snem sprawiedliwego... W. NASIŁOWSKI

Ale go zatkał

— Nie ma takiej rzeczy, której nie możnaby osiągnąć cierpliwością i pracowitością.

— Tak? — Spróbuj w takim razie wcisnąć z powrotem do tubki wyciśniętą pastę do czyszczenia zębów.

Filmowe sztuczki

Reżyser filmowy: — Pobiegnie pan na most, przeskoczy poręcz i rzuci się w wodę.

— Ależ nie umiem pływać!

— To nic. Wody nie będziemy zdejmować.

Dokładna odpowiedź

— Jak się nazywa stworzenie, które ma dwie nogi i pierze.

— Pracza, panie nauczycielu.

Siła przyzwyczajenia

Lekarz do marynarza: — Ha! gorączka trzyma się między 39 a 39,5 stopni...

Marynarz: — Dobrze, dobrze, ale szerokości czy długości?

Filozofia dziecięca

— Tatulku, dlaczego na głowie nie masz włosów?
— Ano widzisz, synku, dlatego, że pracuję głową, a na takiej głowie, która pracuje, włosy nie rosną.
— Teraz dopiero rozumiem, dlaczego mamusia nie ma włosów.

Kuracja

Pan Zenobiusz straszliwie się jękał. Wystano go zatem do szkoły dla jękałów, skąd po trzyletnim pobycie miał powrócić z wymową Demostenesa (sławny mówca grecki).

Po trzech latach pan Zenobiusz wyleczony powrócił do domu.

— Dzień dobry, Zeńku — zagadnął go pewnego razu kolega — jak się czujesz. Nie jękaś się już?

— Z... z... u... peł... zupeł... zupełnie się nie jękam.

— Jakto, przecież słyszę jednak, że się jękaś!

— Bo to z to... to... tobą sta... ary przy... przyja... cielu nie chcę r... r... robić ce... ce... cere... ceremonii!

Uprzejmość

W kawiarni: — Przepraszam, czy pan czyta tę gazetę, na której pan siedzi?

Dzieci

Matka: — Jeżeli nie będziesz grzeczny, to zawołam zaraz policjanta.

— Wojtuś: — Dobrze, a ja powiem, że nie mamy pozwolenia na radio.

Słuch

W pewnym małym domku na peryferiach miasta nie daleko fabryki amunicji mieszkały dwie siostry, obie głuche. Przez cały dzień zajmowały się robótkami. Pewnego dnia rozległ się straszliwy huk. Fabryka amunicji wyleciała w powietrze. Obie siostry ze zdumieniem spojrzały na siebie. Wreszcie starsza, odwracając głowę ku drzwiom rzekła z uprzejmym uśmiechem:

— Proszę...

Wróżba

— Aż do czterdziestego roku życia będzie pan żył w wielkiej nędzy...

— O jej... a potem?

— A potem się pan przyzwyczai.

Zarządzenie

Zarządzenie: «Wszyscy uczniowie wezmą udział w najbliższą niedzielę w nabożeństwie. Zbiórka odbędzie się przed kościołem za kościołem, a po kościele przed kościołem».

ARYTMOGRAF

1 — 2 — 3 — 4 — 5 — 6 — 4 — 7 — 8 — 9 — 10 — 11
7 — 12 — 1 — 8 — 4 — 8 — 13 — 6 — 5

14 — 15 — 4 — 8 — 13 — 7 — 11 — 10 — 2 — 16 — 17
18 — 8 — 19 — 20 — 21 — 11 — 7 — 8 — 13 — 6 — 5

Posługując się wyrazami pomocniczymi, należy cyfry zamienić na litery i odczytać aktualne rozwiązanie.

W y r a z y p o m o c n i c z e :

18 — 1 — 2 — 16 — 5 — 9 — 10 — 6 = Narodzenie, przybycie.

21 — 12 — 19 — 15 — 17 — 7 — 11 — 12 = Oszczercstwo

18 — 8 — 1 — 10 — 6 — 19 — 12 — 7 — 12 = Część zastawy stołowej.

17 — 12 — 1 — 11 — 12 — 4 — 3 — 14 — 1 — 8 — 13
— 20 — 21 — 12 = Współczesna powieściopisarka

opolska. (Uł. L. OLSZEWSKI).

odpowiedzi redakcji

p. A. Sołotowski (Evian les Bains). — Materiały zachowujemy w teczce. Do zobaczenia w Paryżu.

p. W. Nasiłowski (Hyères). — Materiały otrzymaliśmy. Felietony wykorzystamy. Szkice w teczce. List i honorarium wysłane.

p. J. Ciszewski (Polish Forces). — Bardzo dziękujemy za miły list i słowa zachęty do dalszej pracy. Nie odpisujemy prywatnie, bo mamy dużo roboty — jednak na przyszłość obiecujemy list. Niech pan do nas napisze — a może coś da do «Razem»?

p. Z. Bojanowski (Londyn). — Sprawę poruszoną w liście załatwimy Pozdrowienia.

p. A. Miczkowski. (Seedorf, Niemcy). — Sprawę poszukiwań załatwimy.

p. J. Arman (B. L. A.). — Wysłamy. List w drodze.

p. Z. Króla (Reims). — O książkach dla ośrodka pomyślimy.

p. dr. J. Jakóbkiewicz (Aix les Bains). — Felietony otrzymaliśmy. Prosimy o następne.

por. Z. Sołotowski (Luebeck-Rueurpel, Niemcy). — Indywidualnych zapotrzebowań nie może załatwiać — a jeżeli już chodzi o koszulę i papierosy — to chyba P. C. K. może panu coś zaradzić. Adres: P.C.K. 25, rue Taïbout, Paris (9).

p. B. Lipski (New York). — Poszukiwania przesłaliśmy p. Szczepanowi Baczyńskiemu.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo,

W kilku słowach chciałbym określić sedno oto tego listu — raczej duża prośba o możliwość otrzymania tu, gdzie ciągle, zwłaszcza teraz, potrzeba nam słowa polskiego i bodaj, że w duchu takim, jaki spotkałem w kilku artykułach «Razem», który wpadł mi po raz pierwszy w jednej z kantyn.

Pierwszy raz miałem w ręku to pismo i przyznam, zainteresowało mnie ono. Są artykuły, prawda do których miałem swoje zastrzeżenia, ale ogólnie jednak biorąc sędzę, iż jest to pismo jedyne w swoim rodzaju, wychodzące na kontynencie w języku polskim. Nie wiem jaką zasadniczą ma «Ono» myśl przewodnią, nie znam też pobudek i uczuć, do których ma trafiać (czytałem tylko jeden numer). To co mnie porwało i serce w szybszy rytm pociągnęło to właśnie sprawa młodych i młodości.

Tadeusz Ciszewski (Polish Forces).

DO REDAKCJI «RAZEM».

Przypadkowo otrzymaliśmy przed kilku dniami niektóre numery pisma Panów i zrobiły na nas naprawdę niezwykle wrażenie. Piszę nas, ponieważ w grę tu wchodzi prawie cały nasz obóz obejmujący 800 Polaków, którzy łakną polskiego słowa chyba najwięcej po pięciu latach, deportowani do Niemiec, a teraz w służbie wartowniczej przy amerykańskiej armii.

Króla (Reims).

POLSKA YMCA WE FRANCJI

skupuje

książki polskie

i polskie płyty gramofonowe.

Zgłoszenia nadsyłać do Biura Głównego YMCA :

47, rue Cardinet, Paris XVII.